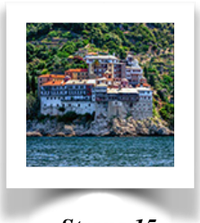

Strona 15

Putinowska „Gra o tron”

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

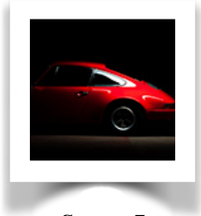

Strona 7

Nazistowskie fortuny niemieckich firm

23 września 2022 - *Warszawa – Polska* **Numer 16(28)/2022**

„Po Putinie będzie kolejny car” – Szyszkin o polityce imperialnej Rosji

Na Zachodzie nikt już nie chce słuchać o wojnie, ludzie są zmęczeni masakrami i solidarnością. Ludzie domagają się spokoju, stabilnych cen, spokojnego życia i możliwości korzystania z wypoczynku. Ale po Putinie będzie kolejny car. III wojna światowa już się rozpoczęła, a nikt na Zachodzie nie chce o niej słyszeć — pisze na łamach hiszpańskiego dziennika „El Mundo” Michaił Szyszkin, rosyjski pisarz, laureat najważniejszych rosyjskich nagród.

Dr Janusz Grobicki

Redaktor Naczelny

„Na pierwszej stronie wojna. Na ostatniej stronie znajduje się krzyżówka”. Kilka dni po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, podczas podróży pociągiem, przyszedł mi na myśl fragment mojej powieści „Światło i mrok”.

Przede mną pasażer czytał gazetę, na pierwszej stronie była wojna, na ostatniej krzyżówki. Od tego czasu minęło kilka miesięcy, a codzienne okrucieństwa zaczęły znikać z nagłówków gazet, pomimo nasilenia starć zbrojnych z całą ich brutalnością.

Ludzie są zmęczeni masakrami i solidarnością. Ludzie domagają się spokoju, stabilnych cen, spokojnego życia.

Koniec teremoka i bajki

To nie pierwszy raz, kiedy moje artykuły biją na alarm o nadchodzących okrucieństwach. Przed aneksją Krymu, aby opisać niepewną przyszłość Europy, sięgnąłem po rosyjską bajkę ludową „Teremok”.

Pewnego razu w lesie stał cichy domek — teremok — w którym mieszkało razem kilka dzikich zwierząt. Pewnego dnia do drzwi zapukała żaba.

„Puk, puk! Kto mieszka w tym teremoku? Pozwól mi wejść, ja też chciałbym z tobą zamieszkać” — poprosiła.

Zwierzęta wpuściły żabę do środka i życzyły jej spokojnego i szczęśliwego życia w małym domku. Jakiś czas później otworzyli drzwi dla Kywarda — zająca i Reynarda — lisa. W teremoku było miejsce dla wszystkich.

Wtedy pojawił się niedźwiedź Bruin i choć bardzo się starał, nie mógł

Ciąg dalszy na stronie 2

Świat na krawędzi

Putin rozpoczął tę wojnę i do środy 21 września miał szansę w miarę korzystnie dla siebie ją zakończyć. Tymczasem ogłosił mobilizację (choć jeszcze 8 marca ten oszust obiecywał rosyjskim matkom, że ich dzieci nie będą przymusowo wcielane do armii i wysyłane na brudną wojnę w Ukrainie). To desperacki krok kremlowskiego bandyty, obliczony na wywołanie mrożącego efektu strachu wśród obrońców Ukrainy i ich zachodnich sojuszników. Z pewnością powołanie pod dwudziestowieczną broń wszystkich rezerwistów nie sprawi, że muzealna ruska armia szybko pokona Ukraińców. Wręcz przeciwnie. Z pewnością konflikt będzie trwał długo, a straty po obu stronach będą ogromne. Jednak nikt, tak jak szaleniec z Kremla, straszący świat nuklearnym armagedonem nie jest w stanie równie skutecznie jednoczyć demokratycznych sił Zachodu. Ostatnia debata na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ jasno pokazała, że po ukraińskiej stronie jest 101 państw, a agresora popiera zaledwie 7 (głosowanie w sprawie zgody na „wirtualną obecność” prezydenta Zełenskiego w czasie obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ). Po decyzji o mobilizacji (Putin nazwał ją „częściową”), wojna na Ukrainie weszła na inny poziom. Z pewnością kremlowski satrapa, zapatrzony w Hitlera i Goebbelsa, będzie chciał nadać jej cechy „wojny totalnej”, czemu m.in. mają służyć tzw. referenda na ukraińskim terytorium, tymczasowo okupowanym przez Rosję. Po inkorporacji zagrabionych ziem do Federacji Rosyjskiej zostaną one objęte kremlowską doktryną obronną, której fundamentem jest „parasol atomowy”. Miejmy nadzieję, że głos Waszyngtonu ostrzegający o dużym prawdopodobieństwie gotowości Putina do spełnienia atomowych gróźb, otrzeźwi tych polityków zachodnich, którzy wciąż mają pozytywny sentyment do Moskwy. Negatywnym przykładem naiwności politycznej jest stanowisko niemieckiej minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser, która powiedziała, że: „Niemcy są gotowe na przyjęcie dezerterów z armii rosyjskiej »zagrożonych poważnymi represjami«”. Ciekawe, ilu ruskich agentów skorzysta z zaproszenia Berlina?

Długa droga brytyjskiej premier

Nowa premier Wielkiej Brytanii przeszła od Oksfordu do Paisley, od Kanady do Westminsteru. Jej międzykrajowa, a nawet międzykontynentalna podróż pozwala zrozumieć także jej polityczną transformację i przejście od lewicy do prawicy, albo – z innej perspektywy – od Remain do Brexitu. „The Times” pyta o to, kim jest nowa brytyjska premier i skąd pochodzi.

Miejsca, które ukształtowały Liz Truss, rozproszone są po całej Wielkiej Brytanii, a nawet po świecie. To Oxford, Paisley, Leeds, Kidderminster, Vancouver i Londyn. Być może te częste przeprowadzki sprawiły, że wydaje się dość trudna do określenia. Zmieniając miejsca zamieszkania, zmieniała też swoje zapatrywania na różne kwestie społeczne, polityczne i światopoglądowe, jednocześnie doskonaląc swój charakter, który przede wszystkim zaprowadził ją na Downing Street.

Ciąg dalszy na stronach 4-i 5

Wiele francuskich firm wciąż działa w Rosji

Francuski dziennik „Le Figaro” podjął się przeanalizowania sytuacji firm znad Sekwany, które zdecydowały się pozostać w Rosji. Po 24 lutego rozpoczął się masowy exodus zachodniego biznesu z rosyjskiego rynku. Z kraju wycofały się m.in.: Renault, Société Générale, Publicis, Schneider Electric, Atos i Sodexo. Swoją działalność zawiesiły takie marki jak: Hermès, Safran, Michelin, Crédit Agricole i Decathlon. Niektóre przedsiębiorstwa kontynuują jednak tamtejsze interesy.

Firma TotalEnergies stanowczo zaprzecza zarzutowi pośredniego zaopatrywania rosyjskiej armii, ale giełdy reagują na takie rewelacje, preferując firmy, które już opuściły Rosję. Przedsiębiorstwa, które zdecydowały się pozostać, podają trzy główne powody. Kontynuacja działań uznawanych za kluczowe dla miejscowej ludności, chęć utrzymania się w przyszłości oraz ogromne koszty wycofania się. Zgodnie z informacjami Uniwersytetu Yale działania w Rosji wciąż podejmują: Auchan, Etam, La Redoute, Leroy Merlin, Lacoste i Bic. W sektorze dóbr konsumpcyjnych i handlu detalicznego są to: Lactalis, Danone, Savencia, Le Duff, Bonduelle i Limagrain. Inne firmy to Eutelsat, Faurecia, Legrand, Orano, Valeo, Veolia, Vinci, TotalEnergies i Sanofi.

Po pół roku wojny działalność tych firm wcale się nie ustabilizowała. „Niezależnie czy to małe i średnie firmy, czy duże korporacje, wciąż są w stanie kryzysu” — zauważa Olivier Attias, prawnik z kancelarii August Debouzy.

Ciąg dalszy na stronie 3

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 16(28)/2022*

„Po Putinie będzie kolejny car”

– Szyszkin o polityce imperialnej Rosji

Ciąg dalszy ze strony 1

usiąść w teremoku. W pewnym momencie, w wielkiej wrzawie, niedźwiedź zniszczył dom swoim ciężarem. I to był koniec teremoka i bajki.

Zachód musi pójść na ustępstwa

Ostrzeżenia wydane w ostatnim czasie nie wywołały żadnego alarmu. W 2014 r., zaraz po aneksji Krymu, pisałem z rosnącym niepokojem, że „w XXI wieku nie ma już lokalnych wojen, z dala od nas. Każda dzisiejsza wojna to wojna europejska. A ta europejska wojna już się rozpoczęła”.

Przewidywałem, że aneksja Krymu przez Władimira Putina wywoła „falę patriotyzmu”. Wcześniej czy później ta fala musi się załamać i wtedy Putin będzie zmuszony uciec się do jakiejś strategii.

Pisałem wtedy, że utrzymująca się od lat niestabilność na Bałkanach zapoczątkuje ogromne przepływy migracyjne do krajów europejskich, a następnie „jeszcze większą falę uchodźców z Ukrainy”.

Wtedy był jeszcze czas, by powstrzymać napastnika. Jednak europejscy politycy woleli zamknąć oczy na rzeczywistość, aby zyskać przychylność wyborców. W tamtych czasach wyborcy też chcieli spokoju: pracy, braku wzrostu kosztów życia i gwarantowanych wakacji.

Najbardziej doświadczeni i skorumpowani rosyjscy analitycy twierdzili, że Zachód musi zrozumieć stanowisko Putina i pójść na ustępstwa.

Dziś doszło do tego, że znajdujemy się w środku europejskiej wojny, zmagamy się z bezprecedensową falą uchodźców uciekających z Ukrainy i zastanawiamy się, dlaczego nasi politycy byli tak ślepi. Nikt już nie słucha głosów pisarzy.

Żeby car był prawdziwym carem

Niestety, jedyną prawdziwą lekcją, jaką możemy wyciągnąć z historii, jest to, że historia nigdy niczego nie uczy.

W Niemczech tysiące intelektualistów podpisało petycję wzywającą rząd do zaprzestania wysyłania broni na Ukrainę, ponieważ istnieje ryzyko wybuchu trzeciej wojny światowej.

„Chcemy polityki pokoju, a nie wojny” — deklarują.

III wojna światowa rozpoczęła się już w 2014 r. Jak można zaradzić ślepocie, jeśli uparcie nie widzimy?

Dziś zadajemy sobie pytanie: jak i kiedy ta wojna się skończy? Wojna z nazistowskimi Niemcami nie zakończyła się śmiercią Hitlera, ale miażdżącą porażką militarną. Prędzej czy później nieunikniona będzie śmierć Putina, ale nie klęska Rosji.

Odpowiedź leży w autentyczności. Niektórzy carowie są prawdziwi, inni fałszywi. Jeśli Święta Rosja powiększa swoje terytoria, a narody kłaniają się autokratom w Moskwie, zniewoleni poddani, którzy pocą się, trudzą i heroicznie przelewają krew za świętą ojczyznę, są przekonani, że ich los jest błogosławieństwem z nieba.

Nie ma sensu rozróżniać, jak car doszedł do władzy i jak rządził swoimi poddanymi. Może spokojnie wysyłać miliony na rzeź, burzyć tysiące kościołów i rozstrzeliwać ich księży: ważne jest, żeby car był prawdziwym carem, bo tylko wtedy wróg ugnie się w popłochu i powiększy się Święta Ziemia Rosji. Tak samo było w przypadku Stalina.

Nowe rozmowy, nowe deklaracje...

Z drugiej strony, porażki militarne i utrata nawet najmniejszej chusteczki do nosa będą postrzegane przez poddanych cara jako wyraźny znak braku boskiej przychylności: car jest nielegalny, jest fałszywy. Czy nie udało mu się pokonać Japończyków? Albo podporządkować sobie Czeczenii? Wtedy człowiek na tronie jest szarlatanem, który chciałby się podawać za cara. Tak samo było z Mikołajem II i Borysem Jelcynem.

Putin legitymizował swoją prezydenturę poprzez zdobycie Krymu, ale ta legitymizacja szybko zanika z powodu jego niezdolności do obalenia Ukrainy. Następny car będzie musiał usprawiedliwić swoje rządy, powołując się na ostateczne zwycięstwo w wojnie prowadzonej przeciwko całemu światu. I jeśli dla tego Putina groźba użycia taktycznej broni jądrowej mieści się w logice wojny hybrydowej, to dla następnego Putina jej użycie może okazać się niezbędnym narzędziem do utrzymania władzy.

Następny Putin będzie po prostu aktorem, który nie będzie mógł znaleźć innej roli. Jego rolę wyznacza bowiem cała wewnętrzna architektura władzy, która nie dba o to, ile ofiar konfliktu będzie na Ukrainie, w Rosji czy gdziekolwiek indziej, nie dba o środki, które zostaną wydane, o ilość broni, która zostanie użyta, ani o śmiertelność wśród swoich wojskowych. Co się stanie, jeśli w Rosji spadnie jakość życia? Cierpliwości, reżim nigdy nie myślał o dobru swoich obywateli.

A każdy, kto jest częścią tego koła władzy, nie będzie się bał atakować Zachodu. W końcu czego mieliby się bać? Jeśli rakieta wybuchnie na terytorium państwa należącego do Sojuszu Atlantyckiego, jakie będą tego konsekwencje? Nowe rozmowy, nowe deklaracje, nowe wezwania do pokoju.

Putinowska „demokracja sterowana”

Wolny świat powinien w końcu zdać sobie sprawę, że nie walczy z szalonym dyktatorem, ale z autonomicznym, agresywnym i samouzdrawiającym systemem władzy.

Starożytna struktura społeczna rosyjskiej autokracji została zachowana w archiwum historii i była przekazywana przez wieki. A teraz jest gotowa zrzucić skórę i pojawić się w nowej postaci: jako chanat Złotej Ordy i moskiewski caryzm, jako imperium Romanowów i komunistyczny Związek Radziecki Stalina, a ostatnio jako putinowska „demokracja sterowana”.

Dziś Rosja po raz kolejny zmienia skórę. Co wyłoni się z niewzruszonych fundamentów niezwyciężonej dyktatury wojskowej — może wolna demokracja konstytucyjna, która z własnej inicjatywy zakaże broni jądrowej? Czy jednak wydaje się to prawdopodobne?

Jeszcze przed drugą wojną światową ludzie pragnęli pokoju, stabilnych cen i spokojnych wakacji. Nawet wtedy wyborcy oczekiwali, że demokratyczne rządy Francji i Anglii rozpoczną negocjacje pokojowe z Hitlerem, wyrzekając się wojny.

Michaił Szyszkin

Źródło: El Mundo

Amerykański sąd broni wolności religijnej

W czerwcu tego roku amerykański Sąd Najwyższy zniósł prawną ochronę aborcji. Od tego czasu w wielu stanach sądy wydały orzeczenia o charakterze pro-life lub proreligijnym – zauważa dziennik „Hispanidad”.

Jednym z przykładów takich orzeczeń jest sprawa piłkarskiego trenera, który – powołując się na 1. poprawkę do amerykańskiej konstytucji – chciał modlić się na boisku zaraz po zakończonym meczu. Udało mu się wywalczyć to prawo.

W stanie Maine natomiast wywalczono uwzględnienie szkół religijnych w programie dofinansowań na naukę w szkołach prywatnych. Dzięki temu organizacje religijne będą miały łatwiejszy dostęp do budżetowych pieniędzy.

Za zmianę, którą teraz obserwujemy, odpowiada w dużej mierze poprzedni prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump. To za jego kadencji mianowano trzech członków Sądu Najwyższego, przez co konserwatyści odzyskali większość w tym organie państwowym. Dzięki temu sąd ten zaczął orzekać na korzyść wartości konserwatywnych – prorodzinnych i religijnych.

Istotna stała się też niedawna sprawa z żydowskiej uczelni Yeshiva w Nowym Jorku, która dotyczyła wolności religijnej. Na wspomnianej uczelni powstał studencki klub „Pride Alliance”, który zrzeszać miał działaczy i sympatyków LGBT. Uczelnia odmówiła jednak rejestracji takiego klubu w swoich ramach.

Studenci odwołali się do sądu, uważając, że decyzja uniwersytetu ma charakter dyskryminujący.

Sprawa trafiła aż do Sądu Najwyższego, który wstrzymał zaskarżenie, uznając, że amerykańskie prawo wyklucza pewne korporacje religijne, uczelnia zaś (zdaniem sądu zasadnie) uznawała siebie za taki właśnie wyjątek, ponieważ jest uczelnią żydowską.

To ważny wyrok ma charakter precedensowy dla kolejnych spraw o naruszanie konstytucyjnych praw do wolności religijnej.

Źródło: Le Figaro

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 16(28)/2022*

Wiele francuskich firm wciąż działa w Rosji

Ciąg dalszy ze strony 1

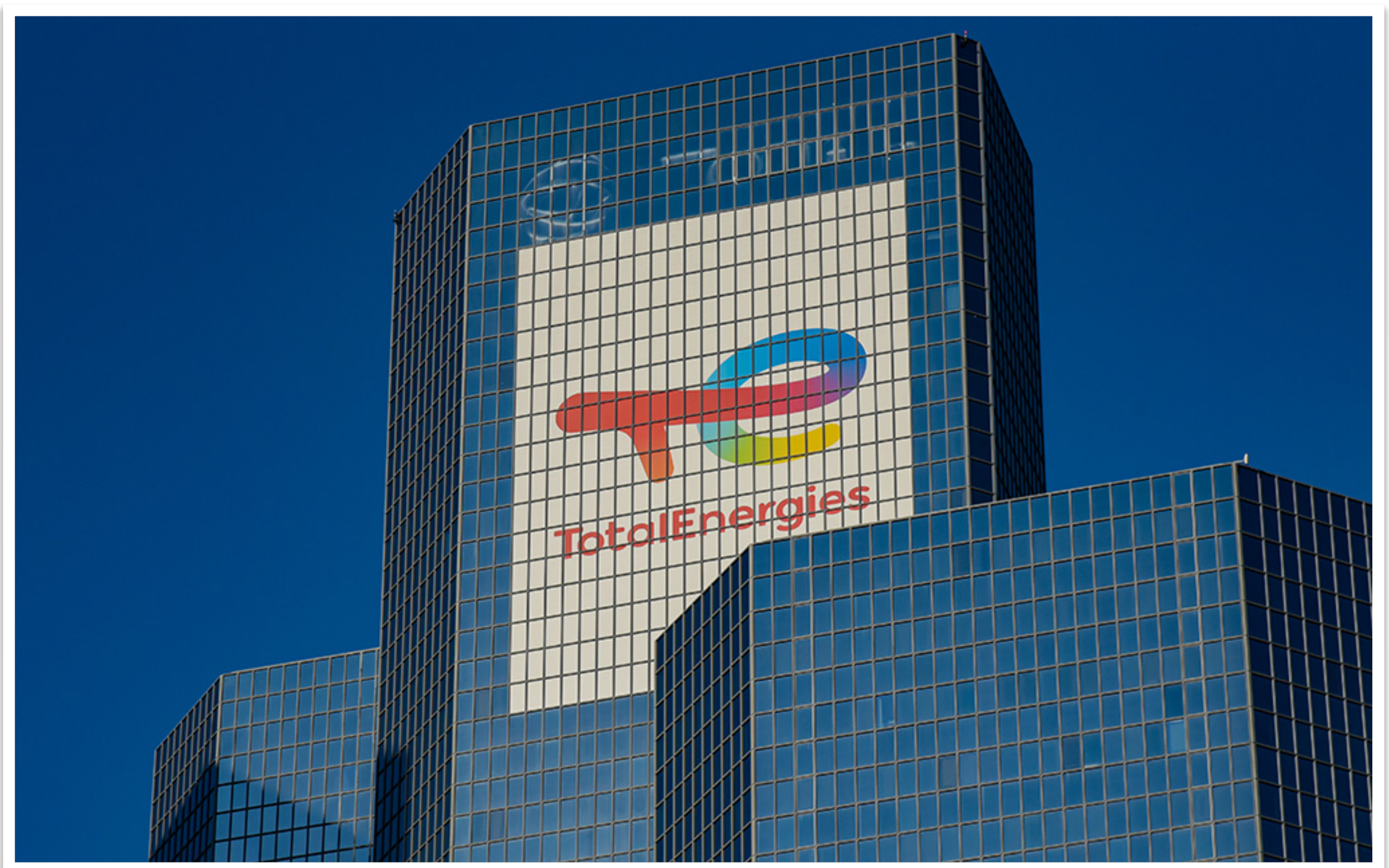

fot. AUFORT Jérome - stock.adobe.com

„Ciągle przychodzą do nas klienci szukający rozwiązań, które pozwoliłyby im pracować w zgodzie z coraz ostrzejszymi, europejskimi sankcjami" — dodaje. 21 lipca opublikowano siódmy pakiet sankcji, co oznacza długie miesiące analizy i wdrażania. Wszystkie te komplikacje sprawiają, że wiele firm woli się wycofać.

Pozostanie w Rosji, oznacza codzienne balansowanie na krawędzi. „Władze lokalne mają proste zasady. Zostajesz, wyjeżdżasz albo czekasz" — mówi Attias. I należy w tym wszystkim uwzględnić zarówno sankcje Europy, jak i kontrsankcje Rosji. A władze w Moskwie są bardzo pragmatyczne i oczekują lojalności. Utrzymanie się we właściwej kategorii oznacza czasem dyskrecję w kwestii sprzedaży lokalnych aktywów. Popycha do tego obawa przez kontrsankcjami. Pernod Ricard wstrzymał eksport do Rosji, a firma nie posiada tam żadnego zakładu produkcyjnego. Jej władze uznały jednak, że należy utrzymać minimalny poziom aktywności, aby kierownictwo spółki zależnej nie zostało oskarżone o nieuczciwe bankructwo. Żeby zdobyć fundusze na wypłaty pensji dla 200 pracowników, sprzedawano magazynowe rezerwy butelek z alkoholem. Natomiast aby utrzymać minimalną aktywność, grupa rozważa reeksport butelek whisky do Rosji.

Olivier Attias dodaje, że rosyjskie władze są wciąż obecne, a firmy obserwowane. Kreml za wszelką cenę stara się je zachęcić do pozostania. Lokalni pracownicy, najczęściej Rosjanie, również obawiają się podsłuchów. Czynniki związane z sankcjami i izolacją Rosji spowodowały odseparowanie tamtejszych filii od ich zachodnich spółek macierzystych. Większość francuskich pracowników została wycofana, a informacje wymienia się za pośrednictwem telefonu lub wideokonferencji. Co jest konieczne w obliczu trudności w komunikacji lotniczej, przy wydłużeniu (z powodu zamkniętej przestrzeni powietrznej) czasu podróży do Rosji z 3,5 do prawie 24 godzin.

Rezydentom nie można jednak wierzyć na słowo, gdy mówią, że na miejscu wszystko idzie dobrze. Zwłaszcza że niektórzy jeszcze przed wojną pracowali dla rosyjskich służb specjalnych.

Te problemy logistyczne mają duży wpływ na działalność firm. Bonduelle musi borykać się z trudnościami w transporcie nasion, pudełek i części zamiennych. Ogromne trudności ma też Danone. Przykładowo ostatnio z powodu niedoboru u lokalnych dostawców zabrakło kleju do uszczelniania pokrywek w jogurtownicach. Znaleziona alternatywa wymaga gruntownej zmiany podejścia do procesów produkcyjnych. Od początku konfliktu podpisano około 100 kontraktów z lokalnymi dostawcami. Firmy, które zdecydowały się pozostać, nie mają wyboru i muszą być autonomiczne.

Uzyskiwane na miejscu dochody muszą pokryć koszty operacyjne, ponieważ wysyłanie pieniędzy stało się bardzo skomplikowane. Jak tłumaczy to Olivier Attias: „Nawet jeśli przepływy finansowe nie naruszają sankcji, zachodnie banki w większości przypadków je blokują, nie przeprowadzając analizy ryzyka". Rosyjskich filii nie ubezpieczają już także zachodnie towarzystwa ubezpieczeniowe. Sankcje i kryzys ekonomiczny w Rosji powodują spadek rentowności oddziałów i nie każde przedsiębiorstwo będzie w stanie to przetrwać. Oddział Auchan (3,2 mld euro obrotu w 2021 r.) był jednym z najbardziej dochodowych tej sieci handlowej, ale w tym roku najprawdopodobniej poniesie straty.

„W drugim kwartale kryzys gospodarczy zaczął dawać o sobie znać na półkach naszych sklepów" — wyjaśnia Ludovic Delcloy, dyrektor finansowy Auchan Retail. Niekorzystny jest brak dużych zachodnich marek, jak H&M, Zara czy Ikea, które kiedyś generowały ruch. Także w Accor, które prowadzi w Rosji 57 hoteli, ograniczono działalność do minimum. W dużych miastach, takich jak Moskwa czy Petersburg, klientela tego lata ograniczała się do Rosjan przebywających na wakacjach. „Nie zarabiamy pieniędzy, więc nie płacimy podatków w Rosji" — od kilku miesięcy powtarza Sébastien Bazin, dyrektor generalny Accor. Jednak relacje pomiędzy Accor a właścicielami, w których imieniu prowadzone są placówki, pozostają napięte. Rzeczniczka firmy przyznała, że grupa handlowa nie wyklucza podjęcia dodatkowych działań, które zmniejszą jej obecność w Rosji.

Źródło: Le Figaro

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska www.nowyswiat24.com.pl Numer 16(28)/2022

Długa droga brytyjskiej premier

Ciąg dalszy ze strony 1

Liz Truss jako minister spraw zagranicznych podczas spotkania z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułebą, Kijów, luty 2022 r. Fot. Wikimedia Commons

Przygoda Liz Truss zaczęła się w Oksfordzie, w jednej z kamienic przy James Street w Cowley. Do dziś mieszka tam mieszanka bogatych studentów oraz miejscowych rodzin. Przyszła na świat w leżącym niedaleko John Radcliffe Hospital 26 lipca 1975 r. Była drugim dzieckiem Johna, profesora matematyki oraz Priscilli, pielęgniarki i nauczycielki. Jednak starszy brat Liz Matthew zmarł, kiedy przyszła premier była jeszcze niemowlęciem. Później doczekała się jeszcze trójki rodzeństwa.

„Truss to kolejna toryska" – mówi sąsiad z dawnego domu Truss. „Dla nas wszyscy są tacy sami"

Cowley było miejscem zdominowanym przez klasę średnią, w którym mieszkało sporo studentów, a ludzie popierali głównie lewicę. Dziś tego typu dzielnice niechętnie podchodzą do jej politycznej kariery – na przykład Joanna Hodge, emerytowana profesor filozofii mieszkająca przez pewien czas w dawnym domu Trussów w Cowley, powiedziała kiedyś, że z powodu Liz wstydzi się tego, iż ma dyplom z Oksfordu.

Ale Liz i jej rodzina nie pozostali w Oksfordzie zbyt długo. Przeprowadzali się z południa na północ, a później w drugą stronę. Wtedy taki wędrowny tryb życia był na Wyspach częściej spotykany, dziś należy raczej do rzadkości.

Kiedy ojcu Liz skończyło się stypendium naukowe na Uniwersytecie Oksfordzkim, rozpoczął pracę nauczyciela w King Charles I High School w Kidderminster. Tam w 1978 r. przyszedł na świat jego syn Chris. Niedługo później zmienił pracę na Paisley College of Technology w Renfrewshire, jednak już w 1979 r. rodzina ruszyła w długą podróż do szkockiego Glasgow. Liz miał wtedy zaledwie cztery lata.

Choć Paisley wygląda pięknie, to w mieście tym panuje bieda. Na głównej ulicy znajdziemy wiele zakładów bukmacherskich, dyskontów i salonów tatuażu. Rodzina Trussów mieszkała jednak przy Low Road, mieszczańskiej przystani pełnej drzew, ptaków i SUV-ów. Zamieszkiwali dwa różne domy, z czego jeden był dużą wolnostojącą willą, a drugi solidnym bliźniakiem. W Paisley urodzili się dwaj kolejni bracia Liz – Patrick i Francis.

Dzisiaj nikt tutaj nie pamięta dziewczynki mieszkającej przy Low Road w latach 80. Jednak też mało kto podziela jej polityczne stanowisko. „Truss to kolejna toryska" – mówi sąsiad z dawnego domu Truss. „Dla nas wszyscy są tacy sami" – dodaje.

Nowa premier Wielkiej Brytanii wspomniała, że w czasach nauki w pobliskiej West Primary School brała udział w przedstawieniu wyborczym – zabawie, w której uczniowie wcielali się w polityków i przekonywali pozostałych uczniów, by na nich głosowali. Grała rolę Margaret Thatcher. „Skończyło się na tym, że dostałam zero głosów" – wspomina. „Nie głosowałam nawet sama na siebie. Już w tym wieku wiedzieliśmy, że bycie torysem na zachodzie Szkocji jest po prostu niepopularne" – mówi.

W Paisley Liz zetknęła się pierwszy raz z aktywizmem politycznym, a to za sprawą jej matki, która zabierała córkę na marsze Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego z lokalnym oddziałem CND. Mając siedem lat, uczestniczyła w słynnych protestach w Greenham Common. 23 października 1985 r. gazeta „Paisley Daily Express" wydrukowała zdjęcie, na którym 10-letnia Liz z matką i bratem Chrisem chwalą się nowym transparentem, który zrobili przed wyjazdem na londyński protest. W artykule opisano, jak przez dwa tygodnie rodzina mozolnie przygotowywała flagę.

Tuss wspomina, że w tym aktywizmie z lat 80. sporo było prac technicznych i plastycznych. „Robiliśmy wiele rzeczy, takich jak marsze, protesty. Raz, kiedy pojechaliśmy autobusem do Londynu, zrobiliśmy bomby atomowe z rolek po dywanach – nasza nie do końca się sprawdziła, bo była na niej tapeta w kwiaty" – powiedziała w jednym z wywiadów z 2014 r.

Rodzina Tussów nie została w Paisley na długo. W 1987 r. John Truss znów zmienił pracę, zostając profesorem wizytującym na Simon Fraser University w Kanadzie. I choć jego rodzina mieszkała w Kolumbii Brytyjskiej jedynie przez rok, to Liz Truss wskazuje to doświadczenie jako istotne. W lipcu tego roku zamieściła na swoim instagramowym profilu zdjęcie klasowe ze Szkoły Podstawowej Parkcrest w Burnaby, na przedmieściach Vancouver. Do zdjęcia dołączyła komentarz: „30 lat temu spędziłam w Kanadzie rok, który zmienił moje spojrzenie na życie. #pioneerspirit #optimism".

„Robiliśmy wiele rzeczy, takich jak marsze, protesty"

Przeprowadzka nie tylko z jednego miasta do drugiego, nawet nie z jednego kraju do drugiego, ale pomiędzy dwoma kontynentami – to wyzwanie dla każdego dziecka. Liz jednak wydawała się ożywiona otwartymi przestrzeniami i szczerym optymizmem zachodniej Kanady.

Ciąg dalszy na stronie 5

Ciąg dalszy ze strony 4

Brenda Montagano, jedna z dawnych szkolnych koleżanek Liz a dziś nauczycielka, wspomina dzisiejszą premier: „Pamiętam jej akcent i pamiętam, że była bardzo inteligentna. Teraz, kiedy jestem nauczycielką, wiem, że zmiana szkoły, a tym bardziej kraju, w tym wieku to nie lada wyczyn. Przyszła i była pewna siebie, rozmowna, starała się wszystkich poznać. Odcisnęła swoje piętno".

Po powrocie z Kanady rodzina Trussów zamieszkała w Roundhay w Leeds. Znaleźli tu rodzinny dom, którego brakowało przez lata. Jasne, nadal trwały w nim debaty polityczne, ale obok nich pojawiła się nauka muzyki, lektura książek czy gry planszowe – w wywiadzie radiowym jej brat Francis przyznał kiedyś, że Liz miała niesamowity pęd do zwycięstwa w przypadku tych ostatnich.

„30 lat temu spędziłam w Kanadzie rok, który zmienił moje spojrzenie na życie. #pioneerspirit #optimism"

Roundhay jest dziś zamożną dzielnicą (willę z widokiem na park można tu dostać za milion funtów – czyli jakieś 5,5 mln złotych) i w latach 80. miało już ten charakter. Należy do okręgu wyborczego Leeds East, który w tamtych czasach był konserwatywny. Dziś dominuje tam klasa średnia głosująca na Partię Pracy.

„Wszyscy przyjaciele moich rodziców pracowali w sektorze publicznym. Nauczyciele w mojej szkole byli często członkami Partii Pracy i aprobowanie tego, co robi rząd, nie stanowiło części naszej kultury" – wspomina Liz.

Pani premier nie cieszy się popularnością w Roundhay. Nie tylko dlatego, że nie zgadzają się z jej polityką, ale także ze względu na jej krytyczne uwagi pod adresem Roundhay School.

„Powodem, dla którego jestem konserwatystką, jest to, że widziałam, jak dzieci z mojej szkoły są zawodzone w Leeds" – powiedziała w lipcu podczas debaty z Rishi Sunakiem.

Szkoła w Roundhay, dziś elegancka i odnosząca duże sukcesy, w latach 80. nie była za dobra. „Materiał, z którego zbudowana była szkoła, był gówniany, naprawdę okropny. Sufity się zapadały, woda przeciekała, ogrzewano ją gazem. Zdawalność egzaminów GCSE wynosiła 40 procent na poziomie A-C" – powiedział jeden z nauczycieli tej placówki.

Truss chodziła na dodatkowe zajęcia i dzięki temu dostała się do Merton College w Oxfordzie na studia z filozofii, polityki i ekonomii (PPE).

„Była zdecydowanie odporna. Nie wiem, przez ile procesów selekcji przeszła"

Dzisiejszych mieszkańców Ingledew Crescent w Roundhay poproszono, o wstrzymanie się od komentarzy, ale wściekłość wielu nie pozwala milczeć. Wieloletnia sąsiada Trussów powiedziała o Liz: „To kłamliwa s**a! Kłamała na temat naszej lokalnej szkoły. Kłamała na temat pomocy, którą otrzymała. Gardzę tą kobietą i współczuję jej ojcu. To nie jego wina". Poglądy polityczne Johna zawsze odbiegały od tych, które obecnie prezentuje jego córka.

Jedna osoba, która chodziła do szkoły z Liz, przypomina sobie ją jako uczennicę „obojętną na wszystko i samotniczkę". Co częste wśród młodzieży o dobrych wynikach w nauce, lepsze warunki znalazła na uniwersytecie, do którego zaczęła uczęszczać w 1993 r.

Merton cieszy się doskonałą reputacją, nawet w bardzo wymagającym otoczeniu oksfordzkich college'ów. „Ci z nas, którzy pochodzą z regionalnych szkół powszechnych, często musieli ukrywać, jacy są mądrzy" – powiedziała jedna ze studentek Merton. „Ale w Merton można było spotkać tych wszystkich niesamowitych ludzi o podobnych zainteresowaniach. To było bardzo wyzwalające" – dodała.

Do Merton – jak i innych college'ów w Oksfordzie – chodziło wielu absolwentów Eton czy inna uprzywilejowana młodzież, która za niedługo mogła dołączyć do gabinetu Liz. „Poznałam torysów i przekonałam się, że ci ludzie nie mają dwóch głów i nie jedzą dzieci" – ironizuje Truss.

Przyszła premier nie zaangażowała się tak bardzo w życie uczelniane, celowała raczej w środowiska o szerszym zakresie. Wstąpiła do uniwersyteckiego stowarzyszenia Liberalnych Demokratów, w 1995 r. została jego przewodniczącą. Świetnie odnalazła się na scenie studenckiej polityki.

W latach oksfordzkich przejawiała miszmasz poglądów typowych dla liberalnych demokratów. Popierała wciąż lewicowy radykalizm społeczny, który wyniosła z domu. Kiedy w 1994 r. przemawiała na konferencji partii Lib Dem, apelowała gorąco o zniesienie brytyjskiej monarchii.

Roger Crouch, który zajął stanowisko przewodniczącego stowarzyszenia liberalnych demokratów jako następca Truss, poznał ją podczas targów dla studentów pierwszego roku. Liz chciała, by całe stoisko partii zastawić materiałami nawołującymi do zalegalizowania marihuany.

„Poznałam torysów i przekonałam się, że ci ludzie nie mają dwóch głów i nie jedzą dzieci"

„Już wtedy była zdeterminowana, gotowa do podjęcia walki i postawienia na swoim" – wspomina Crouch. „Wiedziała, co myśli i była gotowa tego bronić. Była zdecydowana, nieco ekscentryczna i wymagająca. Miała ostre poczucie humoru i myślę, że właśnie dlatego dobrze dochodziliśmy do porozumienia" – mówi.

Kiedy Truss przewodniczyła stowarzyszeniu, często angażowano się w wydarzenia związane z legalizacją narkotyków oraz prostytucji. „Lubiła podważać ortodoksję, często męską ortodoksję" – przypomniał Crouch, dziś pracujący jako nauczyciel.

Poglądy polityczne Truss z pewnością mocno się zmieniły od czasów studenckich. Crouch zauważa jednak pewne wyraźne i stałe cechy jej światopoglądu. „Liz zawsze była libertariańską Liberalną Demokratką" – mówi. Będąc na uniwersytecie, zaangażowała się też w działalność Stowarzyszenia Hayeka promującego wolny rynek, a Crouch przypomina o jednej rozmowie, w której Truss chciała prywatyzacji latarni. „Nie postrzegałem jej jako kogoś, kto ma długą przyszłość w Lib Dems. Myślę, że uznałaby nas za dość irytujących" – podsumowuje.

W latach oksfordzkich ujawniły się jeszcze trzy inne cechy Truss, przez które wiele się o niej mówiło: jej szorstkość, ekscentryczność i bujne życie miłosne. „The Focush", satyryczny biuletyn towarzystwa liberalnych demokratów, opublikował mocno krytyczny tekst na temat Truss po tym, jak ustąpiła ze stanowiska przewodniczącej.

Autorstwo tego anonimowego tekstu przypisywane jest często Paulowi Martinowi, który miał z Liz zatargi w czasach studenckich, a później został profesorem z Oksfordu. Próbował w nim wyliczyć wszystkie problemy z Truss. „1) Liz jest szalona. 2) Liz chodzi z Malcolmem Hutty i on też jest szalony. 3) Liz ma szalone pomysły. 4) Liz uchyla się od pracy". Dalej krytykował ją za zatrudnienie się w Shell, przewidując, że zostanie „katem dla nigeryjskiego rządu".

Zresztą żarty na temat romantycznych relacji Truss często pojawiały się w studenckiej gazecie „Cherwell", w kolumnie plotkarskiej prowadzonej przez Johna Evelyna. W styczniu 1995 r. napisał: „Merton College grozi śmierć ze śmiechu na widok jęczących i dygających Talcum Smutty i Liz » popularnej« Truss".

W tekście sugerowano także zamianę partnerów, radzono Hutty'emu, żeby „John Everett i Liz Truss-Me-Up mogli spędzać wieczory, dyskutując o reformie wyborczej". Wreszcie wyrażono radość z powodu wyrzucenia Truss i Hutty'ego z uniwersyteckiego przyjęcia w ogrodzie Stowarzyszenia Konserwatywnego z powodu „niepłacenia".

Po studiach Truss przeniosła się do Londynu, zostając pełnoprawnym południowcem. Kontynuowała pracę ekonomistki w Shell, ale z czasem przeniosła się do Cable and Wireless. Wszakże ciągnęło ją do polityki, coraz mocniej sympatyzowała z torysami, co czasem niepokoiło jej znajomych z czasów studenckich.

„Wyszliśmy z Oksfordu, było to lato Euro 96 i britpopu" – wspomina jej rówieśnik z Merton. „Wtedy do władzy doszedł Tony Blair. To był powiew świeżego powietrza. Kraj był pełen optymizmu. A kiedy wstąpiła do Partii Konserwatywnej, pomyślałem: » Jak to możliwe?«. To było naprawdę dziwne".

W 1998 roku, mając 23 lata, Truss próbowała zdobyć miejsce w radzie miejskiej Greenwich – dzielnicy, w której popularnością cieszyła się Partia Pracy. Nie udało jej się. Zanim została posłem w South West Norfolk, musiała ciężko pracować na arenie politycznej przez kolejnych 12 lat.

W wyborach do rady Greenwich startował także Douglas Ellison, późniejszy radny miejski. Wspominał swoją kontrkandydatkę: „Była zdecydowanie odporna. Nie wiem, przez ile procesów selekcji przeszła. Miała ogromną wiarę w siebie, że uda jej się stanąć przed publicznością i wyborcami, aby w końcu spróbować się przebić. Była frajerką w kwestii karania".

Ellison nie sądził wtedy, że Liz zostanie premierem, ale dostrzegł i docenił jej polityczne zdolności. „Jej sposób bycia mógł być nieco stateczny, ale była bardzo dobra w pracy z ludźmi. W pewnym sensie miała dużo szczęścia. Czasami lepiej jest mieć szczęście niż talent" – powiedział.

W 2000 r. Truss przeniosła się do południowego Londynu, do Alfege w Greenwich, bardzo blisko jej obecnego domu – kamienicy kupionej w 2006 r. za 751,5 tys. funtów (aktualnie wartej około 1,6 mln funtów). Wyszła za mąż za Hugha O'Leary'ego, a wesele odbyło się w niedalekim pubie Trafalgar nad Tamizą. „Musiało być dobre, bo nie pamiętam go zbyt dobrze" – skomentował Crouch. Obecnie para ma dwie córki – 16-letnią Frances i 13-letnią Liberty.

Spoglądając na drogę, która doprowadziła Liz Truss do progów na Downing Street, można zauważyć, jak kolejne miasta kształtowały jej osobowość. Bezkompromisowość współdzieli z Leeds, twardość – z Glasgow, Oksford podziela jej intelektualizm, Londyn jest równie światowy, a Kolumbia Brytyjska ma podobnie szerokie horyzonty.

Ta pewnego rodzaju nomadyczność sprawia także, że 56. premier Wielkiej Brytanii ciężko jest zaszufladkować. „Ma zdolności adaptacyjne, jest pragmatycznym kameleonem" – mówi Ellison. „Dla mnie wyglądała na klasę średnią, ale nie nosiła koszulki z takim napisem" – dodaje.

Truss jawi się jako pewnego rodzaju uniwersalna Brytyjka: wywodzi się z każdego brytyjskiego miejsca i zarazem z żadnego z nich. Dzięki temu może przystosować się do każdych warunków, jakie napotka. Nie obawia się wygłaszania swoich poglądów, jest przekonana o swoich racjach – bez względu na to, czy znajduje się akurat w liceum w Vancouver, na studiach w Oksfordzie, na marszu w Renfrewshire czy na konferencji Partii Konserwatywnej.

Jej prawdziwym domem stała się polityka, a jej długa podróż zaprowadziła ją w końcu do celu.

Źródło: The Times

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 16(28)/2022*

W imię pamięci polskich ofiar niemieckiego barbarzyństwa

Czy alians Tel-Awiwu z Berlinem ma podłoże narracyjne, czy ekonomiczne i jak to wpłynie na perspektywę rozliczeń za straty poniesione przez Polskę w wyniku niemieckiej agresji i sześciu lat okupacji?!

Niespełna tydzień czekaliśmy na reakcję anglojęzycznego portalu wydawanego w Izraelu z udziałem kapitału niemieckiego Haaretz.com. Dla niezorientowanego w materii czytelnika treść i forma publikacji sygnowanej przez zajmującego się w portalu i dzienniku o tej samej nazwie Ofera Adereta tematyką historyczną jest bulwersująca, począwszy od pierwszego akapitu.

Polacy stanowią najliczniej reprezentowaną nację, wśród odznaczonych najwyższym izraelskim odznaczeniem cywilnym – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata – przyznawanym przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Jad Waszem w Jerozolimie. fot. Wikimedia Commons

Otóż przywołany Autor twierdzi, że raport Mularczyka obejmuje „żądania odszkodowania za zbrodnie popełnione przez Polaków przeciwko ich żydowskim sąsiadom bez udziału Niemiec". Stąd już tylko krok do powszechnej w krajach anglosaskich narracji o „polskich obozach koncentracyjnych". Tym samym zdanie Jarosława Kaczyńskiego wypowiedziane na Zamku Królewskim w Warszawie, podczas oficjalnej prezentacji trzytomowego raportu, że „celem długiej drogi, jaka przed nami będzie walka o zmianę świadomości społeczeństwa niemieckiego", zyskało za sprawą izraelskiego publicysty (czterdziestojednolatka), bezpośrednie uzasadnienie.

Dla uwiarygodnienia swojej wersji wydarzeń powołuje się Ofer Aderet na opinię, jakżeby inaczej, polsko-kanadyjskiego badacza, żydowskiego pochodzenia prof. Jana Grabowskiego, który w trzecim tomie raportu (który nazywa haniebnym), identyfikuje 292 miejsca kaźni obywateli polskich narodowości żydowskiej, w tej liczbie Jedwabne.

Polacy byli tam jedynie narzędziem w rękach niemieckich okupantów, których sprawstwo kierownicze nie podlega wątpliwości i niezależnie od ocen moralnych, nie zmienia co do istoty związku, pomiędzy polityką eksterminacji prowadzoną w sposób planowy przez niemieckiego okupanta na ziemiach polskich, także wobec polskich obywateli narodowości żydowskiej, przy wymuszonym udziale ich polskich sąsiadów.

Kolejna teza powtarzana za Janem Tomaszem Grossem odwołuje się wprost do „udziału Polaków w Holocauście". Pozostaje dziękować Bogu, że Autor powstrzymał się łaskawie od stwierdzenia, że to Polska była stroną agresywną, jak chciała propaganda III Rzeszy, powołując się na tzw. prowokację gliwicką. W kontekście izraelskiego dziennika, innego znaczenia nabierają słowa kanclerza federalnego Olafa Scholza z wywiadu, jaki ukazał się na łamach Frankfurter Allgemeine Zeitug 7 września b.r. (zatem dzień po izraelskiej publikacji). Odrzucając polskie żądania – zanim oficjalne wpłynęły – Scholz stwierdził; „Mogę zaznaczyć, podobnie jak wszystkie poprzednie rządy federalne, że kwestia ta została ostatecznie rozstrzygnięta w prawie międzynarodowym".

Skoro tak, co kierowało „poprzednimi rządami federalnymi", gdy zawierały traktat o normalizacji stosunków pomiędzy RFN a PRL i uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, wówczas granicy z NRD? Czy potwierdzały ustalenia deklaracją z Krzyżowej, dodajmy, że podczas wizyty Helmuta Kohla, przerwanej na dwa dni upadkiem Muru Berlińskiego?

11 listopada 1989 na wokandzie stawała bowiem sprawa odszkodowań za straty poniesione przez Polskę podczas II wojny światowej. Przypomnijmy, że to właśnie w Krzyżowej niemieccy opozycjoniści wobec Hitlera budowali zręby koncepcji przyszłych Niemiec i powojennej Europy – opartych na zasadach federalizmu, praw człowieka i dorobku chrześcijańskiej myśli społecznej. Albo więc kanclerz mija się z prawdą, albo świadomie wprowadza w błąd niemiecką opinię publiczną.

Uścisk Mazowieckiego i Kohla podczas mszy pojednania, utrwalony przez fotoreporterów obiegł światowe media, jako symbol nowego otwarcia w relacjach polsko-niemieckich. Czyżby o tym nie pamiętano w Niemczech, odwołując się do „wszystkich poprzednich rządów federalnych"?! Łatwiej to będzie zrozumieć, gdy odwołamy się do relacji izraelsko-niemieckich.

Począwszy od roku 1965, kiedy nawiązano oficjalne stosunki dyplomatyczne pomiędzy obydwoma państwami, ówczesny izraelski premier Ben Gurion przekonywał swoich rodaków, że „inne Niemcy" zasługują na inne spojrzenie. Cień Szoah – 6 milionów zgładzonych istnień ludzkich, z czego 3 milionów obywateli polskich, przesłoniły rozmowy z Konradem Adenauerem, natomiast poufne kontakty datują się jeszcze wcześniej, bo na rok 1952.

Oficjalnie szło o odszkodowania, a tajnie negocjowano dostawy broni, co wyszło na jaw dopiero w roku 1964. Szczególny charakter relacji dotyczył także izraelskiej polityki osadniczej. Obecny ambasador Niemiec w Pakistanie jako pierwszy zagraniczny dyplomata podjął urzędowanie w roli przedstawiciela Republiki Federalnej Niemiec w Jerychu. Angela Merkel jako pierwsza zagraniczna szefowa rządu przemawiała w 2008 roku po niemiecku w Knesecie. To wówczas zadeklarowała, że bezpieczeństwo państwa Izrael stanowi niemiecką rację stanu.

Dzisiaj Niemcy to drugi po USA dostawca uzbrojenia dla Izraela. Także okrętów podwodnych. Oba państwa prowadzą wspólnie programy badawczo-wdrożeniowe w zakresie optoelektroniki i zaawansowanych technologiczne systemów kierowania ogniem. Z kolei izraelskie systemy dozorowania, postrzegane są w Niemczech jako skuteczne narzędzie walki z terroryzmem.

Czy w tym stanie rzeczy pamięć o ofiarach i ich katach może rzutować na wzajemnie korzystne relacje handlowe? Pytanie wydaje się retoryczne, zwłaszcza w kontekście nowej narracji, której historyczny z pozoru wymiar rzutuje nie tylko na wzajemne relacje, ale wprost szkaluje Polskę i jej obywateli. Polacy stanowią wszak najliczniej reprezentowaną nację, wśród odznaczonych najwyższym izraelskim odznaczeniem cywilnym – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata – przyznawanym przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Jad Waszem w Jerozolimie.

Maciej Małek

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska www.nowyswiat24.com.pl Numer 16(28)/2022

Nazistowskie fortuny niemieckich firm

Na fali okrucieństw drugiej wojny światowej wiele niemieckich firm zbudowało pokaźny kapitał i odniosło sukcesy w powojennej gospodarce. Hiszpański „La Razón" przeprowadził na ten temat wywiad z Davidem De Jongiem, autorem książki o przedsiębiorstwach w Trzeciej Rzeszy.

fot. AA+W - stock.adobe.com

Rozpętanie drugiej wojny światowej przez Niemcy było możliwe tylko dlatego, że cały przemysł tego kraju przekształcił się w przedsiębiorstwo wojenne. Niemiecka inżynieria zdobyła wtedy szacunek, którym cieszy się do dziś. Niemieckie firmy motoryzacyjne, maszynowe czy lotnicze udowodniły, jak daleko sięga ludzka pomysłowość przy szerzeniu zła, ale na nazistowskim okrucieństwie swą potęgę zbudowali także niemieccy giganci ubezpieczeniowi, banki czy firmy spożywcze. Po wojnie rozliczano niemieckie instytucje, ale na wiele firm spoglądano pobłażliwie – uważa David De Jong, dziennikarz biznesowy z Holandii, który w Hiszpanii opublikował książkę „Pieniądze i władza w Trzeciej Rzeszy", demaskującą nazistowskie fundamenty takich firm jak Porsche, Allianz, BMW czy Dr. Oetker.

Co chciałeś przekazać, pisząc książkę o Trzeciej Rzeszy?

Przede wszystkim chciałem z opowiedzianymi tam historiami trafić do szerszej, międzynarodowej publiczności. Opowiadam o firmach, które wszyscy znamy, z których produktów korzystamy każdego dnia – czy jest to pizza od Dr. Oetkera, czy samochód marki Volkswagen (lub Porsche, Bentley czy Lamborghini, jeśli mieliśmy w życiu więcej szczęścia). Wszystkie te firmy, zwłaszcza samochodowe, wiele uwagi przyłożyły do wybielenia swojej historii, odcinając się od udziału w nazistowskim przemyśle wojennym.

Choć Niemcy wydają się krajem o dużej świadomości historycznej, to jednak opisywane przez Ciebie fakty były tam zaskoczeniem. Czy przeciętny Niemiec wie o poruszanych przez Ciebie kontrowersjach?

Sam byłem tym wszystkim zszokowany, dlatego postanowiłem to opisać. Niemcy mają niejasną wiedzę na temat historii ich przemysłu, w wielu wypadkach wypaczoną. Na przykład często wspominają o Hugo Bossie, który współpracował z nazistowskim wojskiem, ale tak naprawdę założycielska rodzina Bossów nie była częścią tej firmy w okresie Trzeciej Rzeszy. Wiedzą też o historii Volkswagena, ale o zbrodniczych działaniach wielu innych firm nie mają pojęcia.

Tę książkę czyta się prawie jak powieść. A jej głównym bohaterem jest Günther Quandt. Czemu ma on tak duże znaczenie?

Potomkowie Günthera Quandta to dzisiaj największa biznesowa dynastia w Niemczech i w zasadzie w Europie. Mają dziś 47 proc. udziałów w BMW (do którego należy także Mini i Rolls Royce), to aktywa warte około 35 mld euro. Do tego dochodzi jeszcze Altana – bardzo duży koncern chemiczno-farmaceutyczny. To właśnie Günther za czasów Republiki Weimarskiej stworzył fundamenty tego bogactwa. Kupił firmę AFA – dziś znaną jako Varta, producenta baterii (w tym tych używanych w Air Pods).

Co jednak ważniejsze, Günther Quandt kontrolował niemiecki koncern zbrojeniowy DWM. Dzięki temu bardzo dużo zarobił w Trzeciej Rzeszy. Zyskał także na wywłaszczaniu firm z terenów okupowanych przez Niemców. Losy rodziny Quandta to doskonały przykład oportunizmu.

W niemieckich fabrykach często za darmo pracowali niewolnicy, polityczni i wojenni więźniowie.

Tysiące robotników zmuszano do pracy w berlińskich firmach. Większość tych firm nie stała się bogata w Trzeciej Rzeczy, były bogate już wcześniej – może z wyjątkiem Porsche. W każdym razie w 1941 r., kiedy Niemcy zaatakowały Związek Radziecki, wysłano na front wszystkich mężczyzn zdolnych do walki. W kraju nie miał kto pracować. Wtedy Hitler stworzył największy w historii program pracy przymusowej. Do niemieckich fabryk i kopalń trafiło od 12 do 20 mln przymusowych pracowników. Pochodzili z Rosji, Ukrainy, Białorusi, Polski. Według szacunków sama rodzina Quandtów przymuszała do pracy 60 tys. osób, tworząc dla nich własny obóz koncentracyjny.

Henrich Flick, później oskarżony i skazany na więzienie przez trybunał w Norymberdze, zmuszał jakieś 100 tys. ludzi do pracy w swoich kopalniach. Ciągle współpracował z SS przy obozach koncentracyjnych. Zresztą prawie każdy obóz koncentracyjny współpracował z jakąś firmą: Dachau z BMW, Auschwitz z IG Farben, Sachenchausen z Daimler-Benz, Ravensbrück z Siemens, Neuengame z Volkswagen (Porsche) i Dr. Oetker. Te firmy, dzięki umowom z SS, ściągały więźniów do pracy w swoich fabrykach, w zamian płacąc SS. To był cały system.

Wielu spadkobierców firm i fortun tłumaczy dziś, że ich przodkowie nie mieli innego wyboru – mogli albo dołączyć do nazistów, albo zostać przez nich zniszczeni. Czy faktycznie tak było?

Nie. W czasie powojennej denazyfikacji wszyscy deklarowali, że są apolityczni albo nawet antynazistowscy, ale nie było to szczere. Weźmy na przykład Fritza Thyssena, którego syn był jednym z największych zwolenników Hitlera w 1925 r. Fritz należał do partii nazistowskiej, ale w parlamencie zagłosował przeciwko okupacji Polski. Z tego powodu musiał uciekać do Paryża. Kiedy naziści zajęli Francję, aresztowano go i wtrącono do więzienia. Wybór zatem istniał, choć miał swoje konsekwencje. Wielu poszło za przykładem Flicków czy Quandtów i kierowani instynktem samozachowawczym zdecydowali się na oportunizm, jednak to nie znaczy, że nie mieli innych możliwości.

Czy to znaczy, że rodziny, które wtedy odniosły sukces, podzielały nazistowskie przekonania?

Nie, mówię tutaj o oportunistach. Podobne działania podjęliby w każdym innym systemie politycznym. Nie pomogliby nazistom bezinteresownie. Zależało im tylko na rozroście swojego biznesu.

W latach 90. XX wieku wiele bogatych niemieckich familii próbowało rozliczyć się ze swoją przeszłością. Czy to nie było szczere?

Oczywiście, że to nie było szczere. Wszystko to działo się w ramach porozumienia między Niemcami a USA. Niemieckie firmy zasiliły fundację wypłacającą odszkodowania przymuszanym do pracy ludziom kwotą przekraczającą 5 mld euro. Jednak gdy przyszło do wypłaty odszkodowań, największe z nich wyniosło zaledwie około 7 600 euro. Zresztą w ramach ugody firmy wcale nie musiały przyznawać się do winy czy brać na siebie odpowiedzialności. To nie był akt moralny.

W XXI wieku wiele niemieckich firm zleciło historykom przeprowadzenie badań przeszłości firmy. W efekcie jednak powstały tysiące stron raportów spisanych niestrawnym niemieckim językiem akademickim, które nawet nie zostały należycie upublicznione. Żeby udobruchać dziennikarzy śledczych, firmy te stosują wiele działań z zakresu public relations – zakładają fundacje, przyznają nagrody dziennikarskie, przygotowują kursy akademickie itd.

Próbowałeś rozmawiać z potomkami tych rodzin. Byli skorzy do rozmów?

Nie za bardzo. Tylko parę osób zechciało ze mną porozmawiać, a i oni ograniczali się do ogólników w stylu „mój dziadek był wspaniały i dał nam dużo więcej niż bogactwo" albo „w tamtych czasach popełniano wiele strasznych zbrodni". To w zasadzie nic nam nie mówi. Ale i tak większość rodzin i rzeczników firm, o których pisałem, próbowało mnie ignorować.

Czy sto lat po tych wydarzeniach uda się otrzymać szczere przeprosiny?

Cóż… jest to możliwe. Najprostszą drogą do tego jest nacisk ze strony opinii publicznej. Liczę na to, że moja książka w tym pomoże.

Oświadczenie albo publiczna deklaracja odpowiedzialności byłyby wystarczające?

Raczej nie. Jeśli chcą dalej wykorzystywać nazwisko rodowe albo nazwę firmy podczas prowadzenia kampanii filantropijnych, najlepszym posunięciem byłoby określenie swojej roli w popełnionych zbrodniach wojennych. Chodzi o wzięcie konkretnej odpowiedzialności za konkretne czyny, a nie ogólne oświadczenia i posypywanie głowy popiołem.

Jesteś dziennikarzem biznesowym, napisałeś książkę o oportunistach, którzy dorobili się majątków w Trzeciej Rzeszy. Czy uważasz, że można zbudować fortunę w uczciwy, etyczny i legalny sposób?

Nie. Bez względu na to, w jakiej działasz branży – technologicznej, przemysłowej, bankowej, jakiejkolwiek – zawsze ktoś traci. Balzac powiedział, że każda fortuna zaczyna się od zbrodni, sam nie posuwałbym się tak daleko w swojej ocenie, ale w podczas tworzenia bogactwa prawie zawsze dopuszcza się – kryminalnej lub moralnej – zbrodni.

Z jakim przyjęciem spotkała się Twoja książka w Niemczech?

Z bardzo dobrym. Najdziwniej została przyjęta w Anglii, bo zinterpretowano ją jako argument za Brexitem polegający na tym, że w Niemczech dalej są naziści i należy się od nich odciąć. To zupełna bzdura. W samych Niemczech książkę odebrano z dystansem i spokojem. Dostałem dobre recenzje.

Źródło: La Razon

Globalne implikacje rosyjskiej agresji w Ukrainie

W czasie, gdy emocjonowaliśmy się prztyczkiem, jakiego doznał Putin oczekując na Prezydenta Kirgistanu Sadyra Dżaparowa w uzbeckiej Samarkandzie, uwadze obserwatorów uszła wypowiedź premiera Indii – było, nie było mocarstwa atomowego – Narendry Modi'iego, podczas spotkania z rosyjskim prezydentem w kuluarach szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy.

Samarkanda, Uzbekistan

Jak donosi francuska agencja AFP, powołując się na relację indyjskiego publicznego nadawcy Doordashan, Putin usłyszeć miał następujące słowa: „to nie czas na wojnę". To o tyle znamienna wypowiedź, że wcześniej Indie nie potępiły jednoznacznie rosyjskiej agresji. Więcej, Modi w mediach społecznościowych publikował zdjęcia, na których ściska dłoń Władimira Putina.

Agendą spotkania w Samarkandzie miały być; współpraca w zakresie obrony narodowej, handlu i energetyki. Zdaniem indyjskiej telewizji premier Indii akcentował znaczenie „demokracji, dyplomacji i dialogu". To nie przypadek, gdy zważyć, że od czasu rosyjskiej agresji było to pierwsze na tym szczeblu spotkanie indyjsko-rosyjskie.

Putin miał zapewnić swego rozmówcę, że „rozumie obawy Indii", natomiast jego intencją jest „jak najszybsze zakończenie" konfliktu. Jednocześnie stwierdził, że to strona ukraińska odmawia rozmów, chcąc swoje cele osiągnąć środkami militarnymi na polu bitwy. AFP przypomina, że wcześniej Indie określały Rosję jako „podstawowy filar indyjskiej polityki zagranicznej, ze względu na jej strategiczne partnerstwo na rzecz bezpieczeństwa narodowego". Z kolei Putin odwoływał się do „uprzywilejowanego partnerstwa" i rozwoju wzajemnych relacji.

Komentując szczyt w Samarkandzie amerykański sekretarz stanu Antony Blinken powiedział w piątek 16 września, że po rozmowach z premierem Indii Norendrą Modim i przywódcą Chin Xi Jinpingiem, Putin znalazł się „pod presją", aby zakończyć konflikt na Ukrainie. To zdaniem amerykańskiego polityka oddaje obawy, jakie na całym świecie wywołuje rosyjska agresja.

Prezydent Chin mówił wszak w swoim przemówieniu, że „ludzkość jest na rozdrożu i musi stawić czoła bezprecedensowym wyzwaniom". W tle lokalnego (zdawałoby się) konfliktu jest wszak kryzys klimatyczny, post pandemiczne zjawiska w gospodarce i niezmiernie krucha równowaga atomowa, którą doktryna Gierasimowa zakłóca w równym stopniu, co kryzys wokół Tajwanu, czy kolejne groźby ze strony Kim Dzong Una.

Wydaje się, że wypowiedzi papieża Franciszka budzące, wiele kontrowersji, a nawet jawnego sprzeciwu wśród wyznawców i nie tylko, należy odczytywać bardziej w owym globalnym kontekście, niż jedynie w odniesieniu do wojny i jej następstw; militarnych, społecznych i ekonomicznych. Te ostatnie poza niedogrzaną Europą oznaczają wszak realną groźbę głodu w Afryce i poza nią, co zmienia optykę postrzegania lokalnego w wymiarze terytorialnym konfliktu.

Nie przypadkiem więc Putin deklarował w rozmowie z dziennikarzami „udzielenie chińskiemu przywódcy wyjaśnień, aby rozwiać jego wszelkie obawy". W odpowiedzi na sankcje Unii Europejskiej Rosja przekierowała dostawy ropy do Chin i Indii, ale abstrahując od ceny transakcyjnej i kosztów logistycznych przekierowania dostaw, realna perspektywa ograniczenia możliwości w zakresie ubezpieczeń transportujących rosyjską ropę tankowców to „najlepsza próba wstrzymania przepływu rosyjskiej ropy". Tak w każdym razie twierdzi Matt Smith – analityk branży naftowej z firmy Kpler – Crunchbase Company Profile & Funding.

Z kolei zdaniem Shin Kim – analityczki z S&P Global Commodity Insights: „Restrykcje na ubezpieczenia rosyjskich statków mają olbrzymią wagę i dołożą komplikacji politycznych i ekonomicznych w handlu rosyjską ropą". Jak donosi CNN, włączenie w ten proces Wielkiej Brytanii miałoby kluczowe znaczenie, jako że londyński rynek Lloyd's of London odgrywa kluczową rolę w branży ubezpieczeń morskich.

Wracając zaś do spotkania w Samarkandzie, wydaje się, że absencja Xi Jinpinga podczas kolacji z udziałem Władimira Putina uzasadniana normami, jakie obowiązywały chińską delegację w związku z COVID-19, dowodzi stopniowego dystansowania się od Putina i jego poczynań także tych, którzy czerpiąc doraźne korzyści z europejskich sankcji wobec Rosji, kwestionują jednocześnie polityczne przywództwo Ameryki w sprawie wsparcia dla Ukrainy.

Redakcja Nowy Świat 24

Europejscy taksówkarze protestowali w Brukseli przeciwko praktykom Ubera

Wielokrotnie pisaliśmy, że nawet w krajach tradycyjnej gospodarki rynkowej amerykański Uber poczyna sobie niczym karbowy w folwarku – lekceważąc prawo, dobre obyczaje i reguły konkurencji.

Fot. vector_master - stock.adobe.com

W czwartek 8 września miarka się widać przebrała, bowiem kierowcy taksówek z krajów południa Europy: Grecji, Hiszpanii i Portugalii (przy wsparciu Szwajcarskich kolegów), sparaliżowali ruch na ulicach Brukseli w proteście przeciwko niedozwolonym praktykom Ubera.

Kierowcy z Europy domagali się od unijnych instytucji, a także władz Brukseli pilnego ujawnienia akt zgromadzonych z ponad 40 krajów a dokumentujących działania Ubera za lata 2013 – 2017. Sprawa nie jest zatem nowa, a repozytorium dotyczy ponad 100 tysięcy dokumentów. Jak się zatem wydaje. czasu i materiału dowodowego było, aż nadto.

W reakcji na protest władze miasta zaapelowały do mieszkańców o pozostanie w domach lub korzystanie z transportu publicznego. Pomimo tego, ruch na ulicach Brukseli był sparaliżowany przez kilka godzin. Od kilku lat w efekcie dziennikarskiego śledztwa, ujawniającego środki ekspansji rynkowej Ubera – lobbing, niejasne relacje z politykami, niedozwolone praktyki, czy wreszcie obchodzenie prawa – trwa na ten temat publiczna dyskusja. Bierne pozostają jedynie krajowe i unijne władze. Jak długo jeszcze?!

Warto w tym miejscu przypomnieć, że jeszcze w roku 2015 w wyniku skarg Niemiec i Francji na niedozwolone praktyki Ubera wszczęto dochodzenie przy wsparciu ówczesnej unijnej komisarz ds. rynku wewnętrznego Elżbiety Bieńkowskiej. Ofensywa lobbingowa amerykańskiego operatora, a nawet groźby złożenia kontr pozwów przeciwko Niemcom, Francji, a także Hiszpanii i Włochom odniosły zamierzony skutek. Pozostaje mieć nadzieję, że tym razem sprawa nie będzie zamieciona pod dywan.

Maciej Małek

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 16(28)/2022*

„Narzędzie do łamania praw człowieka". Putin i Xi witają Iran w „klubie dyktatorów"

Po latach względnego zapomnienia, członkostwo w Szanghajskiej Organizacji Współpracy stało się nagle modne. Białoruś prawdopodobnie zostanie wkrótce podniesiona z „państwa obserwatora" do rangi pełnoprawnego członka. Mówi się, że Turcja, członek NATO, również rozważa złożenie wniosku — obecnie jest jednym z „partnerów dialogu", który to status ma być zaoferowany w tym tygodniu również Arabii Saudyjskiej i Katarowi — pisze brytyjski „The Times".

„Początkowo było to luźne ugrupowanie, które jedynie pozwalało swoim członkom rozmawiać" — powiedział Charles Kupchan, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Georgetown w USA. „Teraz zyskuje członków i rośnie w siłę, zaczyna wyłaniać się jako instytucja o większych możliwościach i wadze" — dodał.

Niektórzy zachodni obserwatorzy opisują grupę jako „klub dyktatorów", który chce wymazać wpływy Zachodu z euroazjatyckiego serca. Jednak może mieć jeszcze większe ambicje.

Egzekwowanie polityki antyterrorystycznej

Oprócz Chin i Rosji w skład grupy wchodzą Indie oraz pięć państw „zza oceanu" — Pakistan, Tadżykistan, Kazachstan, Kirgistan i Uzbekistan. Ich przywódcy spotkali się w starożytnym uzbeckim mieście Samarkanda, leżącym na starym szlaku handlowym „Jedwabnego Szlaku", na którym XIX-wieczne imperia brytyjskie i rosyjskie rywalizowały o dominację nad Afganistanem i innymi terytoriami Azji Środkowej.

Tę walkę o wpływy nazwano „Wielką grą" — termin ten ukuł brytyjski oficer wywiadu i odkrywca Arthur Conolly, który w 1842 r. został ścięty jako szpieg na publicznym placu w Bucharze. Ostatnie upokorzenia Wielkiej Brytanii i Ameryki związane z upadkiem Kabulu w zeszłym roku zachęciły Szanghajską Organizację Współpracy (SCO), która zalicza Afganistan do państw obserwatorów.

Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka określiła ją jako „narzędzie do łamania praw człowieka", a inni krytycy widzą w niej wygodny sojusz mocarstw, które łączy wstręt do Zachodu i jego liberalnych wartości społecznych oraz chęć walki z „terrorystami, ekstremistami i separatystami".

„Przywódcy tych państw mają tendencję do definiowania ich w sposób ogólny jako każdego, kto spiskuje przeciwko państwu" — powiedział Raffaello Pantucci z Royal United Services Institute i autor książki „Sinostan" o wzroście znaczenia Chin w Eurazji.

Egzekwowaniem polityki antyterrorystycznej organizacji zajmuje się niesławna Regionalna Struktura Antyterrorystyczna SCO z siedzibą w Taszkiencie w Uzbekistanie. Struktura ta, o niefortunnym akronimie RATS (to po angielsku szczury), prowadzi bazę danych nazwisk „terrorystów" z różnych krajów członkowskich, utrudniając aktywistom politycznym poszukiwanym w jednym kraju szukanie schronienia w innym.

„Są to kraje znane z brutalnego tłumienia sprzeciwu. Przeciwnicy polityczni Putina giną, są więzieni lub wyrzucani z kraju, a on sam jest oskarżany o mordowanie cywilów na Ukrainie. Xi z kolei jest oskarżany o czystki etniczne wśród Ujgurów w północno-zachodnim regionie autonomicznym Xinjiang" — czytamy w „The Times".

Organizacja nie osądza jednak członków. „To miejsce, gdzie antydemokraci mogą przetrwać i pokazać, że mają międzynarodowe poparcie" — powiedział Pantucci.

Putin pielęgnuje relacje z Iranem

„Prezydent Iranu Ebrahim Raisi będzie tam pasował. Jest on znany jako »rzeźnik z Teheranu« ze względu na swoją rolę w nadzorowaniu »komisji śmierci«, która nakazała egzekucję 30.000 dysydentów w 1988 r." — przypomina gazeta.

Chiny zablokowały przed laty członkostwo Teheranu, obawiając się, że zrazi to USA.

„Ostatnio jednak stosunki między Waszyngtonem a Pekinem pogorszyły się do tego stopnia, że Chiny mogą myśleć, że nie mają nic do stracenia" — powiedział Ali Vaez z International Crisis Group.

Putin od pewnego czasu pielęgnuje relacje z Iranem. Kiedyś porównał najwyższego przywódcę tego kraju Alego Chamenei do Jezusa Chrystusa, a podczas innej wizyty w Teheranie wręczył mu specjalny prezent: jedno z najstarszych na świecie wydań Koranu.

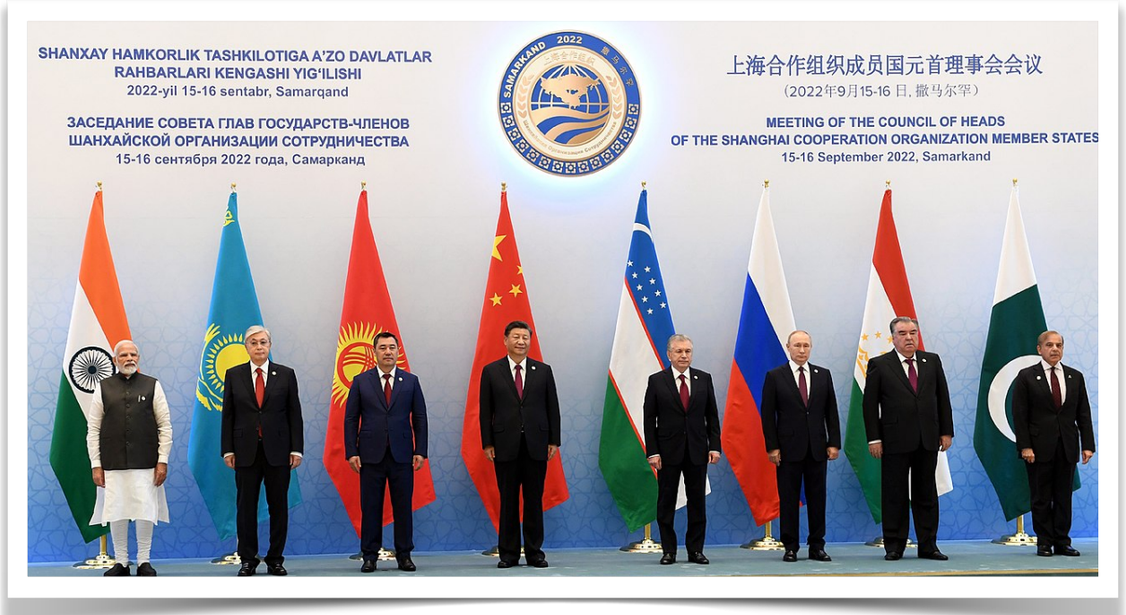

Spotkanie w ramach Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SCO), Samarkanda, Uzbekistan, 16 września 2022 r., źródło: Biuro Prasowe rządu Indii via Wikimedia Commons

„Być może szepnął Xi do ucha: Czas wpuścić Irańczyków do SCO" — powiedział Charles Kupchan.

Niezależnie od wszystkiego rosyjski deputowany Gawriłł Popow określił nowe rosyjsko-irańskie partnerstwo mianem „osi dobra" — co jest szyderczym nawiązaniem do określenia przez byłego prezydenta USA George'a W. Busha w 2002 r. Iranu, Iraku i Korei Północnej „osią zła".

Oba kraje mają długą i skomplikowaną historię, a różnice pozostają — Rosja nie podziela wrogości Iranu wobec Izraela i nie chce Iranu uzbrojonego w broń jądrową. Jednak relacje między nimi kwitną, zwłaszcza wśród elit bezpieczeństwa obu krajów.

„Istnieje wspólna kultura mafijna, łączy ich konspiracyjny światopogląd i wzajemna niechęć do Zachodu" — powiedział Ali Ansari, profesor historii Iranu i dyrektor Instytutu Studiów Irańskich na Uniwersytecie St. Andrews.

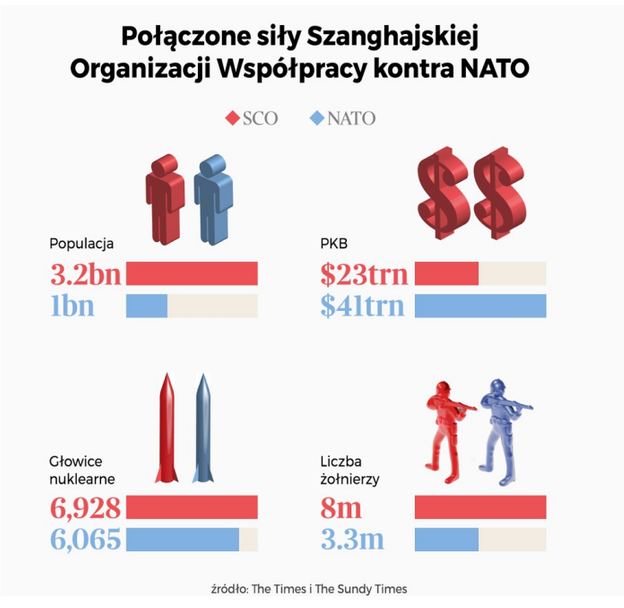

Infografika: The Times

Potrzeba „samooczyszczenia" społeczeństwa

W następstwie ostatniej wizyty Putina w Teheranie w czerwcu Iran zaczął dostarczać drony do wykorzystania przez siły rosyjskie przeciwko Ukrainie. Jednak według Ansariego bardziej znaczące jest to, że Putin wydaje się w pełni przyswajać ideologiczne punkty widzenia Teheranu — zdrową dawkę anglofobii, mówienie o „oporze", toksycznych konsekwencjach kultury zachodniej i potrzebie „samooczyszczenia" społeczeństwa.

Ali Ansari uważa, że rosyjskie przywództwo nie tylko toleruje, powstrzymuje i czasami wykorzystuje osobliwości irańskiej ideologii rewolucyjnej, ale wydaje się je podzielać, łącznie z niepokojącym poczuciem misji wobec Matki Rosji, która jest coraz częściej uważana za świętą.

„Odcięty od zachodnich partnerów z powodu inwazji na Ukrainę Putin rozpaczliwie szuka nowych przyjaciół. Według CIA zawarł nawet umowę na zakup amunicji od Korei Północnej" — czytamy w „The Times".

Niedawno Pekin uczestniczył z oddziałami, samolotami i okrętami wojennymi we wspólnych manewrach wojskowych z Rosją na dalekim wschodzie kraju.

Xi zgodził się również spotkać z Putinem podczas szczytu w Samarkandzie. Jest pewne, że będą rozmawiać nie tylko o alternatywnych trasach kolejowych przez Azję Środkową do Europy, co ma być jednym z głównych punktów programu szczytu SCO.

„Czy uda im się przekształcić to »NATO Wschodu«, jak żartobliwie nazywają je niektórzy dyplomaci, w alternatywny porządek świata?" — zastanawia się gazeta.

Podobnie jak w przypadku Rosji i Iranu, Rosja i Chiny są historycznymi antagonistami i rywalami o wpływy w Azji Środkowej. Ich obecna bliskość wynika jedynie z wysiłków Putina, by uniknąć izolacji w związku z Ukrainą.

„Jeśli chodzi o Indie, to chcą one być graczem wahadłowym, nie chcą wybierać stron. Widzimy, jak wiele krajów stara się zachować równowagę" — powiedział Charles Kupchan, były doradca byłego prezydenta Baracka Obamy.

Wiele może zależeć od wyniku wojny na Ukrainie

Czterej członkowie z Azji Środkowej obawiają się, że Putin może pewnego dnia zrobić z nimi to, co zrobił z Ukrainą, a takie rozdźwięki mogą w końcu uniemożliwić SCO bycie czymś więcej niż „klubem autokratów", którego interesy od czasu do czasu się pokrywają. Nie ma jeszcze sugestii, że SCO przekształci się w sojusz wojskowy.

„Waszyngton bardzo obawia się autokratycznego bloku rywalizującego z Pekinem i Moskwą" — powiedział Kupchan. „Ale czy SCO będzie takim rywalem? Czy jest to grupa, która stanie się przeciwwagą dla Zachodu?" — dodał.

„Nie widzę wystarczającego konsensusu między Rosją i Chinami, żeby sformułować normy i zasady, które można by nazwać alternatywnym porządkiem. Jednak rozwój tej organizacji i relacje między Pekinem a Moskwą są wyraźnymi wskaźnikami tego, że zmierzamy w kierunku hybrydowego porządku światowego, w którym występują różne ugrupowania i różne podejścia do zarządzania. Widzimy już jego zarysy" — zaznaczył profesor Uniwersytetu Georgetown.

Wiele może zależeć od wyniku wojny na Ukrainie, gdzie oprócz wszystkiego, o co się walczy, stawką jest żywotność zachodniej demokracji.

„Typ reżimu, który w danym momencie ma tendencje wzrostowe, to zazwyczaj kraj, który wygrał ostatnią wielką wojnę" — podsumował Jack Snyder, politolog z Uniwersytetu Columbia w USA.

Źródło: The Time

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 16(28)/2022*

Wybór partnera w budowie atomu coraz bliżej

W październiku zostanie podjęta decyzja w związku z kluczowym partnerem, który zbuduje elektrownie jądrowe na terytorium Polski. Wykonawców, którzy zgłosili kandydatury, jest trzech. Na pierwszym miejscu stawia się USA, następnie Francję, a później Koreę Południową. Potencjalnie każdy z wyborów byłby korzystny, ale oprócz energii, liczy się również długofalowa współpraca w innych dziedzinach – gospodarczej i militarnej – a przez to zacieśnienie relacji bilateralnych.

Potrzeba dywersyfikacji energetycznej w 2022 roku jest spowodowana w głównej mierze rosyjską polityką energetyczną. Dlatego też Polska kieruje się częściowo (również w militarnym zakresie jak choćby ze współpracą wojskową) w stronę swoich sojuszników. Zmniejszająca się zależność energetyczna od Rosji, to rosnąca dywersyfikacja i budowanie niezależności opartej na dostawach z krajów nordyckich, USA, Bliskiego Wschodu i Afryki. Następnym krokiem jest rozwój kolejnego źródła energii, czyli atomu.

Zgodnie z opublikowaną dwa lata temu aktualizacją dokumentu Program Polskiej Energetyki Jądrowej, pierwszy reaktor energetyczny powinien zostać uruchomiony w 2033 roku. Kolejne co dwa lata, ażeby do 2043 roku na terytorium Polski było 6 elektrowni. Przedłużający się proces wyboru kandydata, to także oddalanie terminu faktycznego oddania. Uruchomienie pierwszego reaktora nie nastąpi szybciej niż za 10 lat, co oznacza, że już teraz należy szukać dostawców gazu i ropy w skali globalnej – m.in. dlatego Prezydent A. Duda udał się do Afryki.

Długofalowa polityka energetyczna, następnie budowa reaktorów, wymaga odpowiedniego doboru lokalizacji, wykonawcy i organów zarządzających. Ponadto sam proces budowy to co najmniej kilka lat i wielomiliardowe inwestycje. Dywersyfikacja energetyczna to współcześnie fundament dla utrzymania stabilności państwa.

Który partner?

Po ostatnim spotkaniu M. Morawieckiego i E. Macrona ponownie pojawiła się propozycja Francji. Projekt realizowałby wówczas Électricité de France, który jest obecny w ponad 30 krajach. Co ważne, działa również w Polsce, a nad Sekwaną obsługuje 56 reaktorów o różnej mocy. Francuzi chcą zbudować od 4 do 6 reaktorów EPR. We Francji energia elektryczna pochodzi w 70 proc. z energii jądrowej, a obecnie rozwijany jest projekt we Flamanville, który (pomimo opóźnienia i dodatkowych kosztów) będzie miał moc 1 650 MW. Warto wskazać, że jest to pierwszy tego rodzaju reaktor w kraju. Francuzi mają duże doświadczenie w budowach poza granicami. EDF uruchomiło reaktory m.in. w Chinach i Wielkiej Brytanii, a rozmowy trwają z Indiami i Czechami.

Warto wziąć pod uwagę ofertę Korei Południowej. Krajowa spółka Korea Hydro & Nuclear Power oferuje sześć reaktorów APR1400, a łączna moc ma być równa 8,4 GW. Reaktory są zaopatrzone w rozwiązania z zakresu cyberbezpieczeństwa, ochrony przed kolizjami ze statkami powietrznymi oraz posiadają zabezpieczenia zapobiegające zagrożeniom sejsmicznym. Koreańska firma obsługuje elektrownie jądrowe i wodne w kraju, które odpowiadają za około 27 proc. całej produkcji energii (łącznie 24 reaktory o różnej mocy). Poza granicami budowali m.in. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Oferta, która wysunęła się na pierwsze miejsce, to projekt od głównego sojusznika Polski w dziedzinie bezpieczeństwa, czyli USA. Swoją propozycję ma Westinghouse, który chce zbudować reaktory typu AP1000. W oparciu o amerykańską technologię miałoby powstać ich 6 o mocy do 9 GW. Amerykanie budują już takie reaktory w Chinach. Wydaje się, że polski rząd jest zdecydowany na Amerykanów, a przekazany raport ws. organizacji i budowy reaktorów w Polsce na ręce minister klimatu i środowiska był kluczowy dla osiągnięcia porozumienia.

Atomowa dyplomacja

Atomowa dyplomacja to wykorzystanie energii jądrowej i wszystkich aspektów wokół (budowa reaktorów, know-how, szkolenie, utylizacja odpadów, etc.) do prowadzenia polityki zagranicznej; takie też działania stosują Francuzi, Koreańczycy i Amerykanie. W Polsce, ale też innych państwach mających zagranicznego partnera w atomie, ogromne znaczenie ma polityka i dalsza współpraca między dwoma stronami, już po wyborze konstruktora. Przy obecnych partnerach, każda z propozycji ma swoje wady i zalety. Wybierając Amerykanów wzmacniamy długoletni, wieloaspektowy sojusz. Współpraca z Koreą mogłaby wejść niespotykany dotychczas poziom, zwłaszcza po ostatnich zakupach uzbrojenia. Opcja francuska to wybór silnego partnera w Europie i wzmocnienie roli Polski w UE.

W kwestii współpracy zagranicznej, także na poziomie energetycznym, Polska powinna w przyszłości wypracować zdolności do wzmacniania swojej pozycji na arenie międzynarodowej. Szczególnie ważni są tutaj eksperci uczestniczący w negocjacjach i grupach roboczych przy UE i NATO, a także w kontaktach z przedstawicielami firm zagranicznych oferujących swoje usługi. Decyzja o wyborze partnera ma charakter polityczny, ale musi być poparta rzetelną wiedzą, nie tylko inżynierów, ale także specjalistów ds. bezpieczeństwa i stosunków międzynarodowych. Związanie się na kilkadziesiąt lat z wybranym partnerem, w tak strategicznej sprawie, jak budowa elektrowni nuklearnej, wymaga współpracy na wielu poziomach. Jest kluczowe, aby godnie i ekspercko reprezentować polską rację stanu poza granicami państwa.

Rozstrzygnięcie wkrótce

Budowanie elektrowni to ogromne wyzwanie finansowe. Polski Instytut Ekonomiczny wskazuje, że deklarowany koszt budowy 1 GW mocy w atomie to od 13,4 mld zł do 23,2 mld złotych, w zależności od oferty. APR1400 – 13,4 mld zł/GW, AP1000 – 19,7 mld zł/GW oraz EPR I – 23,2 mld zł/GW. Średni koszt budowy dwóch elektrowni jądrowych w Polsce to 184 miliardy złotych, jeśli nie będzie znacznych opóźnień. Ponadto wybudowane elektrownie jądrowe zaspokoją od 25,6 proc. (w przypadku 6,6 GW mocy) do 38,4 proc. (jeśli będzie to 9,9 GW mocy) rocznego zapotrzebowania w 2043 roku.

Decyzja o wyborze wykonawcy zostanie przedstawiona już za kilka tygodni. Najważniejsza decyzja, czyli wybudowanie elektrowni jądrowej, już zapadła. Choć w ujęciu globalnym potencjalnych inwestorów mogłoby być kilkunastu (elektrownie budują również Rosjanie, Chińczycy i Kanadyjczycy), to w Polsce rozważa się trzech partnerów: USA, Francję i Koreę Południową. Każde z tych państw, oprócz rozwoju atomu, wnosi z tą inwestycją dużo więcej projektów i możliwości. Amerykanie są najbliżej, ale ostateczna decyzja wciąż nie zapadła.

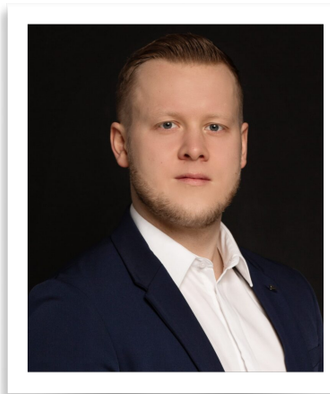

***Dr Aleksander Olech** – Wykładowca na Baltic Defence College i analityk Defence24. Absolwent Europejskiej Akademii Dyplomacji oraz Akademii Sztuki Wojennej. Doświadczenie badawcze zdobywał m.in. na Université Jean Moulin Lyon 3, Instytucie Stosunków Międzynarodowych w Pradze, Instytucie Wspierania Pokoju i Zarządzania Konfliktami w Wiedniu, NATO Energy Security Centre of Excellence w Wilnie, NATO Centre of Excellence Defence Against Terrorism w Ankarze i NATO StratCom w Rydze. Stypendysta OSCE & UNODA Peace and Security, NATO 2030 Global Fellowship oraz dwukrotnie Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego. Główne zainteresowania badawcze to terroryzm, międzynarodowa współpraca na rzecz bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej, bezpieczeństwo energetyczne oraz rola NATO i UE w środowisku zagrożeń hybrydowych. Jego publikacje naukowe są dostępne w języku angielskim, francuskim i rosyjskim.*

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 16(28)/2022*

Czy niekonserwatywne podejście rozwiąże brytyjski kryzys energetyczny?

O poważnych problemach, jakie stoją przed brytyjską gospodarką w związku ze wzrostem cen energii, donosi tygodnik „The Spectator".

Bieżąca zapowiedź wprowadzenia limitu cen to dla gospodarstw domowych wzrost rachunków za energię o około 80 proc. To 3549 funtów rocznie i łącznie, w skali kraju, aż 99 mld funtów. Odpowiada to wzrostowi standardowej stawki podatku dochodowego o dziewięć pensów od funta. A bardzo prawdopodobne, że limit zostanie jeszcze podniesiony do 6 tys. funtów rocznie na początku 2023 r.

Podobna przykra niespodzianka czeka też przedsiębiorstwa, zwłaszcza działające w najbardziej energochłonnych branżach, jak przemysł metalowy czy nawozowy. Jednak dla dziesiątków małych firm zatrudniających miliony osób to również wielki kłopot. Stoją one w obliczu trzy- lub czterokrotnie wyższych rachunków. Bez działań rządu nastąpi lawina zamknięć i bankructw. Proponowane obecnie rozwiązania to co najwyżej półśrodki. Tymczasem obywatelom Wielkiej Brytanii grozi znaczne obniżenie standardu życia, a dużej części gospodarki nieopłacalność.

Nowa premier Liz Truss już na starcie będzie się mierzyć z poważnymi wyzwaniami. Znacznych kosztów nie da się uniknąć, ale istnieje kilka opcji wybrnięcia z tej sytuacji.

Pierwszą możliwością jest obniżenie podatków. Podatki od osób fizycznych pobierane w Wielkiej Brytanii stanowią równowartość około 650 mld funtów rocznie. Zrównoważenie wzrostu rachunków wymagałoby zmniejszenia podatku o 7 proc., co daje w skali kraju 44 mld funtów. Dla zniwelowania wzrostu limitu cenowego o 6 tys. funtów spadek musiałby jednak wynieść aż 17 proc., czyli 112 mld funtów.

Ewentualne rozwiązania to:

Obniżenie podatku VAT. Pięcioprocentowa obniżka podatku VAT zapewniłaby przeciętnemu gospodarstwu domowemu dodatkowe 1300 funtów rocznie, kosztując budżet państwa 40 mld funtów. Taki pomysł można szybko wdrożyć, a przy okazji obniżyć inflację zasadniczą.

Wakacje od podatku komunalnego, na który przeciętne gospodarstwo domowe wydaje około 1500 funtów rocznie. Zniesienie go na rok kosztowałoby około 41 mld funtów.

Obniżenie opłat za prowadzenie działalności gospodarczej. Roczne opłaty podatkowe przedsiębiorstw wynoszą około 24 mld funtów. Zmniejszenie ich o połowę byłoby dużym udogodnieniem, choć lepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie takich ulg dla mniejszych firm.

Obniżenie podatku dochodowego o 9 pensów od funta byłoby w przybliżeniu równoważne ostatniej podwyżce rachunków za energię.

Obniżenie podatku VAT na paliwo, szczególnie w przypadku rachunków biznesowych, gdzie jest on pobierany w wysokości 20 proc.

Wszystkie te pomysły mają zarówno zalety, jak i wady. Nie wiadomo, jak dobrze ukierunkowane byłyby takie cięcia podatkowe. Choć obniżenie podatków nie spowodowałoby radykalnej poprawy sytuacji po stronie podaży, to pozwoliłoby na powrót pieniędzy do kieszeni obywateli. W ten sposób zrekompensowano by dodatkowe nakłady na energię.

Innym pomysłem jest zniesienie opłat ekologicznych. Jak szacuje IFS, pozwoli to w ciągu roku zaoszczędzić gospodarstwom domowym około 180 funtów na przeciętnym rachunku. To znaczna, choć niewystarczająca ulga.

Rozwiązaniem są też rabaty bezpośrednie na rachunki za energię, jakie rząd mógłby zaoferować gospodarstwom domowym. Wydaje się to jednak jeszcze trudniejsze do realizacji niż w przypadku obniżenia podatków.

Z kolei rozważana nacjonalizacja dostawców energii niewiele zmieni. Ich zyski stanowią bowiem zaledwie małą część całkowitych kosztów energii. Byłoby to również czasochłonne i kosztowne, a centralny problem, jakim jest wysoka cena importowanej energii, pozostałby nierozwiązany.

Czy jednak nie warto wziąć pod uwagę jakiejś formy tymczasowego ograniczenia cen? Choć to niezbyt konserwatywne posunięcie dla nowego, konserwatywnego rządu, jednak może to zapobiec upadkowi lub zamknięciu ogromnej liczby przedsiębiorstw. W przeciwieństwie do powyższych alternatyw.

Należałoby ustalić górną granicę cenową na poziomie sprzed ostatniej podwyżki i z potencjalnym zamrożeniem taryf dla przedsiębiorstw. Różnicę pomiędzy tym poziomem cen a zwiększonymi kosztami zakupu gazu i innych źródeł energii jej dostawcy pokryliby, korzystając z „funduszu deficytowego" stworzonego przez rząd. Koszt takiej operacji wyniósłby około 100 mld funtów w ciągu dwóch lat, ale byłby pokrywany przez kolejne 10-15 lat, a w razie potrzeby nawet dłużej. Służyłyby do tego pożyczki rządowe, przyszłe opłaty za energię lub połączenie obydwu tych rozwiązań.

Takie podejście charakteryzuje się przede wszystkim względną prostotą i bezpośredniością. To rozwiązanie zajmuje się problemem u źródła, bez prób zrównoważenia cen energii zmniejszaniem innych kosztów ponoszonych przez gospodarstwa domowe czy przedsiębiorstwa. Obniżenie cen energii dostarczanej przez dostawców prowadzi do obniżki kosztów ponoszonych przez wszystkich płatników rachunków.

Niezależnie od przyjętej strategii koszty fiskalne będą duże, nawet rzędu 100 mld funtów w ciągu najbliższych dwóch lat. Choć kwota wydaje się porażająca, to w rzeczywistości stanowi zaledwie 4 proc. brytyjskiego PKB, a więcej wydano w trakcie pandemii. Gdyby przez najbliższe 20 lat sfinansować te wydatki poprzez emisję długoterminowych obligacji rządowych, to dodatkowe koszty odsetkowe wyniosłyby około 3 mld funtów rocznie. A to już zaledwie 0,12 proc. PKB przy bieżących stopach procentowych.

Wbrew twierdzeniom takie pożyczki nie będą napędzać inflacji. Tak mogłoby się stać jedynie przy finansowaniu przez luzowanie ilościowe Banku Anglii, a nie kiedy gospodarka znajduje się na skraju recesji. Część pożyczek można by spłacić z wykorzystaniem opłat od przyszłych rachunków za energię. Sensowna opcja to też ograniczenie wydatków rządowych jak np. wyjątkowo drogi i wątpliwy ekonomicznie projekt superszybkich kolei HS2. Jego koszt może przekroczyć 100 mld funtów, a jak do tej pory został zakontraktowany jedynie w niewielkiej części.

Potrzebna będzie radykalna reforma brytyjskiej polityki energetycznej, aby zmniejszyć rachunki dla gospodarstw domowych i firm. Tylko dzięki temu uda się obniżyć koszty w średnim okresie i zminimalizować wrażliwość dostaw energii na wstrząsy zewnętrzne. W takim wypadku należy zwiększyć krajowe dostawy wszelkiego rodzaju energii. Gazu morskiego i lądowego, energii jądrowej oraz źródeł odnawialnych.

Wymagać to będzie również zmiany elementów ekonomicznych rynku energetycznego jak np. ceny krańcowe. Ceny hurtowe są bowiem ustalane na podstawie najwyższych kosztów produkcji. Przed nowym gabinetem trudne zadanie, żeby wyrwać się ze strefy partykularnych interesów i dotychczasowej bierności rządu.

Źródło: The Spectator

Irackie zamieszki zagrażają amerykańskiej gospodarce?

Serwis Daily Caller analizuje ewentualny wpływ zamieszek w Iraku na gospodarkę Stanów Zjednoczonych.

Niestabilna sytuacja polityczna w tym państwie i wzrost niepokojów w ostatnich tygodniach może zagrażać irackim polom naftowym. Kraj jest trzecim największym producentem ropy naftowej, a zakłócenia w dostawach tamtejszego surowca mogą doprowadzić do gwałtownego wzrostu cen energii na świecie.

Anthony Kim, pracownik naukowy Heritage Institute, powiedział Fundacji Daily Caller News: „Sądzę, że zwiększająca się niestabilność w Iraku przełoży się na niepewność w globalnej gospodarce w trakcie nadchodzącej zimy, zwłaszcza w obliczu inwazji Rosji na Ukrainę. To będzie coś więcej niż tylko dodatkowy punkt rozproszenia uwagi".

Trwające zamieszki spowodują napięcie na światowych rynkach ropy naftowej. Efektem będą podwyżki na amerykańskich stacjach benzynowych, jak stwierdzili eksperci Daily Caller.

Zwolennicy nacjonalistycznego duchownego Muktady as-Sadra szturmowali siedzibę rządu. W poniedziałek i wtorek doszło do gwałtownych starć z milicją proirańską i irackimi siłami bezpieczeństwa. Rozruchy objęły też bogate w ropę naftową obszary kraju, co stwarza ryzyko zakłócenia produkcji i wzrostu cen w USA i innych krajach. Jak uważa Simone Ledeen, była zastępczyni asystenta sekretarza obrony ds. Bliskiego Wschodu: „Drugo- i trzeciorzędne efekty, jakie pojawią się w postaci szoku energetycznego, będą naprawdę znaczące".

W rozmowie z CNBC Helima Croft, szefowa RBC ds. surowców stwierdziła, że zaostrzenie sytuacji może zagrozić produkcji nawet miliona baryłek ropy naftowej dziennie.

Według Agencji Informacji Energetycznej Irak jest trzecim co do wielkości producentem ropy naftowej na świecie i drugim w organizacji OPEC. Większość irackich dostaw trafia do Azji i Europy. Jakiekolwiek wahania w dostawach doprowadzą do wzrostu cen energii. Wpłynie to na każdy aspekt amerykańskiej gospodarki i jej większe uzależnienie od zagranicznej ropy.

„Sytuacja w Iraku zwiększy presję na wzrost cen" – powiedział DCNF Anthony Kim, pracownik naukowy Heritage Foundation.

Do starć doszło również w bogatym w ropę regionie Basry, gdzie sadryści palili opony i wywoływali zamieszki na ulicach.

Protestujący zgromadzili się wokół bram pól naftowych i rafinerii w południowej prowincji Iraku, ale nie było doniesień o tym, by tłum naruszył instalacje i doprowadził do przerwania produkcji.

„Jakiekolwiek oznaki zakłócenia dostaw byłyby niepokojące, zwłaszcza przy obecnych globalnych problemach z podażą" – wyjaśnił Nader Itayim. „Przy tak napiętym rynku jakakolwiek poważna przerwa w dostawie zwiększyłaby presję na wzrost cen" – dodał.

Mimo że amerykańskie firmy naftowe odnotowały rekordowe zyski dzięki zwiększonemu eksportowi i rosnącemu globalnemu popytowi, to ceny wciąż rosną. Prezydent USA Joe Biden obiecał wspomóc Europę w zmniejszeniu zależności od rosyjskich surowców, jednak podobny kryzys przeżywają też Stany Zjednoczone.

Ceny podniosły się w poniedziałek po doniesieniach o niepokojach, spadły jednak we wtorek, gdy państwowe przedsiębiorstwo SOMO potwierdziło, że eksport ropy pozostanie niezmieniony. Firma poinformowała także o możliwości przekierowania przyszłych dostaw do Europy w związku ze zbliżającą się zimą i ograniczeniem przesyłu z Rosji.

Niepokoje pojawiały się od lat, jednak obecny rząd nie potrafi sobie z nimi poradzić. „To bardzo niebezpieczna sytuacja" – powiedziała Ledeen, sugerując, że może dojść do nasilenia zamieszek. Wprawdzie as-Sadr wezwał swoich zwolenników do ustąpienia, opowiadając się za pokojowym rozwiązaniem, lecz pokazuje to, jak słabą kontrolę nad państwem i jego zasobami mają rządzący.

Premier Iraku Mustafa Al-Kadhimi niewiele zrobił w celu rozwiązania konfliktu między populistycznymi sadrystami a grupami proirańskimi, w tym milicjami o znanych powiązaniach z reżimem irańskim. Od czasu październikowych wyborów kraj boryka się z impasem politycznym oraz powtarzającymi się wezwaniami as-Sadra do protestów.

Muktada as-Sadr jest przeciwnikiem Iranu, jednak w trakcie interwencji USA w Iraku w 2003 r. sprzymierzył się z tym państwem. Przewodził grupie milicji odpowiedzialnej za śmierć wielu amerykańskich żołnierzy. Iran zyska na niestabilności sąsiada niezależnie od tego, która grupa wyjdzie zwycięsko z konfliktu. Dotyczy to również irackich pól naftowych.

„Całkiem możliwe, że chodzi tu o przejęcie przez Iran irackich pól naftowych" – uważa Ledeen. „I jest to część strategii zdobycia hegemonii w regionie" – podkreśla.

Źródło: The Daily Caller

Co wiąże Saudyjczyków z rosyjskimi potentatami energetycznymi?

„Bloomberg" pisze o powiązaniach biznesowych dużej saudyjskiej firmy z najważniejszymi rosyjskimi przedsiębiorstwami energetycznymi.

Od 2020 r. firma Kingdom Holding księcia Al-Walida zainwestowała na całym świecie 3,4 mld dolarów w takie rosyjskie firmy, jak Gazprom, Rosnieft, czy Łukoil. W okresie inwazji na Ukrainę kwota ta wyniosła 500 mln dolarów, co pokazuje ostrożność w działaniach Rijadu względem swojego partnera w OPEC+. W lutym Kingdom Holding — zgodnie z dokumentem giełdowym — nabyła kwity depozytowe wyemitowane przez spółki Gazprom, Łukoil i Rosnieft. Nie podano konkretnych dat inwestycji, nie wiadomo więc, czy nastąpiło to przed rozpoczęciem moskiewskiej agresji 24 lutego.

Po rozpoczęciu wojny wartość kwitów depozytowych gwałtownie spadła, co było efektem wstrzymania handlu z Rosją i nałożonych na nią sankcji.

Książę Al-Walid, wnuk założyciela saudyjskiej dynastii, należy do najbogatszych ludzi w kraju i najbardziej znanych międzynarodowych inwestorów. W ostatnim czasie większych inwestycji dokonuje tylko państwowy fundusz majątkowy królestwa, który w maju nabył 16,9 proc. udziałów w Kingdom Holding Co. Przewodzi mu kuzyn Al-Walida, książę Muhammad ibn Salman. Prowadzenie interesów z Rosją w trakcie konfliktu wskazuje na delikatne relacje łączące te kraje, w sytuacji, gdy inne państwa Zatoki Perskiej wycofały się z rosyjskiego rynku.

Prezydent Władimir Putin i faktyczny władca królestwa książę koronny Muhammad ibn Salman kilkakrotnie rozmawiali od początku wojny. Obydwa państwa łączy współpraca w ramach OPEC+ dotycząca zarządzania podażą ropy naftowej. Nie odpowiedziały one na wezwanie zachodnich przywódców, w tym prezydenta Joe Bidena, aby zwiększyć wydobycie surowca i przeciwdziałać w ten sposób globalnej inflacji.

W 2017 r. książę Al-Walid został zatrzymany w saudyjskim hotelu Ritz-Carlton wraz z innymi książętami i urzędnikami państwowymi. Było to związane ze śledztwem antykorupcyjnym. Został zwolniony po 83 dniach i nie przedstawiono mu żadnych zarzutów. Doszło wówczas do porozumienia z rządem, którego szczegółów jednak nie podano.

Zarządzane przez niego Kingdom Holding zainwestowało w lutym 1,37 mld riali (365 mln dolarów) w amerykańskie kwity depozytowe Gazpromu. Jak na ten rok jest to na razie największa spośród ujawnionych inwestycji. Dodatkowo 196 mln riali zostało wykorzystane na globalne kwity depozytowe Rosnieftu, a na przełomie lutego i marca — 410 mln riali na amerykańskie kwity depozytowe Łukoila.

Wszystkie te zakupy są częścią programu inwestycyjnego Kingdom Holding. Firma koncentruje się na alternatywnym finansowaniu, energii, rozrywce, sztucznej inteligencji, ubezpieczeniach, zarządzaniu aktywami, towarach i funduszach. W jej centrum zainteresowania znajdują się także inne branże. 2,5 mld riali wyniosła też inwestycja w hiszpańską Telefonicę SA w 2020 r.

Firma ujawniła również udziały w Uber Technologies Inc, TotalEnergies SE, Alibaba Group Holding Ltd. i BHP Group Ltd., nabyte głównie w latach 2020 i 2021. Ostatnią transakcją o wartości 178 mln riali było kupno w czerwcu udziałów w Hercules Capital Inc. Akcje firmy venture capital wzrosły o 17 proc. od początku lipca.

67-letni Al-Walid trafił do grona najważniejszych saudyjskich inwestorów po objęciu udziałów w takich firmach jak Citigroup Inc. i Apple Inc. Wspiera także modernizację kraju księcia Mohammeda, w tym przyznanie kobietom prawa do prowadzenia pojazdów.

Oprócz lokowania finansów dokonuje też sprzedaży m.in. udziałów w swojej wytwórni muzycznej Rotana Music firmie Warner Music Group Corp. Za 2,2 mld dolarów sprzedał też należącej do Billa Gatesa firmie Cascade Investment LLC część udziałów w sieci hoteli Four Seasons. Al-Walid jest znany z długoterminowych inwestycji. Jego idolem jest Warren Buffet i sam określił się kiedyś jego arabskim odpowiednikiem.

Źródło: Bloomberg

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
23 września 2022 - Warszawa – Polska www.nowyswiat24.com.pl Numer 16(28)/2022

Nie każdy emeryt potrafi zarządzać swoimi pieniędzmi zgromadzonymi w banku

Jak podał 16 września GUS, ceny towarów i usług konsumpcyjnych w sierpniu 2022 r. w porównaniu z analogicznym miesiącem ub. roku wzrosły o 16,1 proc. (przy wzroście cen towarów – o 17,5 proc. i usług – o 11,8 proc.). Dla seniorów oznacza to duże uszczuplenie w ich portfelach. Rząd, przekazując kolejne środki na wsparcie dla tej grupy społecznej, stara się obronić emerytury przed inflacją. Czy podobną uwagę zwraca się na ten problem w bankach?

W ramach czternastej emerytury, do 1,2 mln emerytów trafi 1,5 mld zł, a łączna kwota wypłaconych do tej pory świadczeń sięgnie 7,1 mld zł dla prawie 6 mln osób. Jak powiedziała Minister Rodziny i Polityki Społecznej Marlena Maląg w tym roku w ramach „trzynastki" i „czternastki" polscy seniorzy otrzymają 24,5 mld zł. Należy też dodać, że po waloryzacji w marcu 2022 r. (jak podaje ZUS), najwięcej świadczeniobiorców (253,4 tys. osób) pobiera emerytury w wysokości 2051,77 zł.

Obecnie znaczna część emerytur jest wypłacana przez ZUS przelewem na konto w banku wskazane przez emeryta. Zgodnie z treścią ustawy przyjętej przez Radę Ministrów, emerytury przyznawane po raz pierwszy od 1 stycznia 2022 r. mają być obowiązkowo przekazywane na rachunek bankowy. Można przyjąć, że na tzw. ROR-ach, czyli na rachunkach oszczędnościowo-rozliczeniowych emerytów, gromadzone są dziś coraz większe kwoty i korzystają na tym w oczywisty sposób banki.

Czy inflacja musi „zjeść", aż tak dużo z oszczędności emeryta?

Przechowywanie środków na rachunku bankowym ma swoje zalety w stosunku do gromadzenia gotówki, choćby ze względu na bezpieczeństwo. Jednak podstawową cechą oferowanych przez banki RORów jest brak oprocentowania zgromadzonych na nich środków. Prowadzone są najczęściej za „0" zł, choć niektóre banki wymagają np. wykonania w ciągu miesiąca transakcji na określoną kwotę.

Przy obecnym poziomie inflacji trzymanie na nich większych środków, z których nie korzysta się na bieżąco, wiąże się z realnymi stratami. Oczywiście każdy posiadacz rachunku może przenieść część zgromadzonej na rachunku kwoty na oprocentowane konto oszczędnościowe i uratować, choćby tylko w części ich realną wartość. Jednak wymaga to podjęcia w tym celu działań, a w przypadku osób starszych, również sprawności w posługiwaniu się bankowością elektroniczną. Dla wielu emerytów jest też wyzwaniem udanie się do oddziału banku oraz szukanie tam porady i założenie konta oszczędnościowego.

Obecnie oferowane oprocentowanie kont oszczędnościowych wynosi w zależności od banku od ok. 2 proc. do nawet 7,5 proc. w skali roku. Można zadać pytanie, czy choćby PKO Bank Polski, największy bank w naszym kraju i własność Skarbu Państwa, nie powinien zwrócić większej uwagi na osoby starsze, które z nim się też najczęściej identyfikują oraz są przez niego obsługiwani?

Jak odpowiedziała nam Katarzyna Ewert-Gandzel, starszy specjalista w PKO Banku Polskim – „Z bankowości elektronicznej korzystają osoby w zasadzie w każdym wieku, także emerytalnym. Preferencje widać natomiast przy wyborze kanału dostępu do takiej bankowości. Osoby młodsze chętniej sięgają po aplikację mobilną IKO, czyli „bankują" na smartfonach. Klienci powyżej 50. roku życia częściej korzystają z serwisu internetowego iPKO na komputerach czy laptopach. Bardzo cieszy nas szerokie grono klientów PKO Banku Polskiego po 65. roku życia, którzy korzystają głównie z bankowości internetowej. PKO Bank Polski ma w swojej ofercie lokatę przeznaczoną specjalnie dla osób powyżej 60. roku życia, z dogodnym, długim horyzontem oszczędzania (24M) i oprocentowaniem 6 proc. w skali roku. Oferta cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem klientów. Lokatę można założyć przez telefon, w placówce banku, można to także zrobić online szybko i w intuicyjny sposób" – dodaje Katarzyna Ewert-Gandzel. To dobrze, że bank ma ofertę skierowaną do osób starszych, co nie jest powszechne, jeśli chodzi o banki komercyjne działające w naszym kraju, jednak nadal nie rozwiązuje to problemu tych, którzy z różnych względów nie mogą lub nie potrafią aktywnie zadbać o swoje oszczędności.

Konto dla seniora

Na pewno powinno być proste, tanie i z brakiem opłat za podstawowe operacje bankowe oraz z możliwością obsługi rachunku w oddziale. Liczy się też dobra oferta oszczędnościowa. Oczywiście bank musi zarabiać, ale może w niektórych przypadkach powinien też podzielić się choćby częścią zysku, oprocentowując w jakimś stopniu część zgromadzonych przez emerytów na ich rachunkach ROR środków. Tym bardziej że dzięki działaniom osłonowym rządu szybko ich przybywa.

W 2015 r., czyli przed objęciem władzy przez Zjednoczoną Prawicę, najliczniejsza grupa tj. 305,6 tys. osób otrzymywała emeryturę w wysokości 1550,28 zł, a po waloryzacji w marcu 2022 r. najwięcej świadczeniobiorców pobiera co miesiąc emerytury wyższe o ponad 500 zł, nie licząc dodatkowych środków wyasygnowanych z budżetu państwa, które co roku trafiają do tej grupy społecznej. Jak widać sprawa emerytur wpłacanych na bankowe rachunki to oczywisty interes dla banków, choć już nie tak bardzo oczywisty dla emerytów.

Bohdan Szafrański

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
23 września 2022 - Warszawa – Polska www.nowyswiat24.com.pl Numer 16(28)/2022

Szwecja porzuca poprawność polityczną? Wybory pokazały nastroje społeczne

Skrajnie prawicowa formacja, po tym, jak w wyborach w 2018 r. została zawetowana przez wszystkie inne partie w parlamencie, przystąpiła do wyborów z szacunkowym 20-proc. udziałem w głosowaniu — pisze hiszpański dziennik „El Confidencial".

Szwedzki Riksdag, fot. dbrnjhrj - stock.adobe.com

W ostatnich tygodniach w sztokholmskim metrze pojawiły się plakaty wyborcze z wizerunkiem startującego samolotu i przesłaniem: „Surowsze kary dla przestępców, głosuj na SD".

Na innej platformie w stolicy Szwecji ściana była pokryta trzema obrazami umieszczonymi obok siebie. Pierwszy z nich to zdjęcie spalonego samochodu na ulicy obok napisu „the Koran riots". Na kolejnym widać było grupę ludzi z Bliskiego Wschodu i napis „kryzys migracyjny". W trzecim świece, kwiaty i miś na środku ulicy tworzyły ołtarz upamiętniający zabójstwo dziewczynki w strzelaninie w Szwecji. Poniżej tych trzech zdjęć plakat wyborczy pytał pasażerów: „Jaki był Twój moment Jimmie?", odnosząc się do lidera antyimigracyjnej partii Szwedzcy Demokraci.

Kluczowa rola w tworzeniu nowego rządu

Po latach bycia partią marginalną ze względu na powiązania z grupami neonazistowskimi Szwedzcy Demokraci wykorzystali strach połowy populacji Szwecji przed falą strzelanin, która przetoczyła się przez zubożałe przedmieścia kraju i która w tym roku pochłonęła już 47 ofiar. Druga połowa Szwedów bardziej obawia się historycznego wzrostu znaczenia ksenofobicznej partii, która może odegrać kluczową rolę w tworzeniu nowego rządu w tym skandynawskim kraju, uważanym za lenno partii socjaldemokratycznej i postępu w Europie Północnej.

Na kilka dni przed wyborami najnowsze sondaże wskazywały na remis pomiędzy blokiem lewicowym (Socjaldemokraci, Partia Lewicy, Partia Centrum i Partia Zielonych) z 51-proc. poparciem, a blokiem prawicowym (Umiarkowani, Liberałowie, Chrześcijańscy Demokraci i Szwedzcy Demokraci) z 49-proc. poparciem. W tym kontekście lider Umiarkowanych Ulf Kristersson i Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna widzieli możliwość utworzenia przyszłej władzy wykonawczej, jeśli zawrą pakt ze skrajną prawicą — koalicję, która do połowy ostatniej kadencji była odrzucana przez dwie tradycyjne partie konserwatywne. Teraz jednak są otwarci na negocjacje.

„W ostatnich latach dyskurs polityczny w Szwecji całkowicie się zmienił" — przekonuje Anders Sannerstedt, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie w Lund.

„Wcześniej powiązanie przestępczości z imigracją byłoby niemożliwe dla partii politycznych, zostałbyś okrzyknięty rasistą, teraz to się bardzo zmieniło" — dodaje.

Miejsce Szwedzkich Demokratów

„Pomimo powolnego i spokojnego tonu, nieagresywnego stylu debaty, dobrej retoryki i wyglądu zwykłego człowieka, środki proponowane przez 43-letniego Jimmiego Åkessona są mocne i kontrowersyjne. Jego dyskurs skoncentrowany na łączeniu przybycia imigrantów i uchodźców z kryzysem państwa opiekuńczego, który zagraża spójności społecznej, prowadzi go do obiecywania deportacji lub chęci likwidacji prawa do łączenia rodzin dla uchodźców" — czytamy w hiszpańskim dzienniku.

„Jedną z ostatnich propozycji jego partii jest odrzucanie wniosków o azyl, jeśli dana osoba sama stworzyła problem, na przykład deklarując, że jest częścią społeczności LGBTQ w swoim kraju pochodzenia" — czytamy w manifeście wyborczym.

Jednak zdaniem Sannerstedta tym, co tłumaczyło wzrost i stawianie na sukces Szwedzkich Demokratów w wyborach, była ich zdolność do przekształcenia się w partię, która jest do zaakceptowania przez wyborców, zachowując swój nacjonalizm i propozycje dotyczące migracji, ale dostosowując się do innych.

„Partia nie nawołuje już do wyjścia Szwecji z Unii Europejskiej, akceptuje członkostwo w NATO i nie jest już bezwzględnie antyaborcyjna" — mówi profesor.

Powiązania są bardziej ukryte

Utworzona w 1988 r. partia Szwedzcy Demokraci po raz pierwszy weszła do szwedzkiego parlamentu w 2010 r. z wynikiem 5,7 proc. głosów po tym, jak Jimmie Åkesson został jej przewodniczącym pięć lat wcześniej i przewodzi jej do dziś.

„Udało im się również oczyścić swój wizerunek" — mówi Ryan Switzer, badacz nauk politycznych na Uniwersytecie Sztokholmskim. „To nie znaczy, że nie mają już powiązań z grupami białych supremacjonistów, ich baza jest czysta, ale powiązania są bardziej ukryte" — przekonuje naukowiec.

Aby poradzić sobie ze wzrostem znaczenia skrajnej prawicy partia socjaldemokratyczna, której przewodzi obecna premier Magdalena Anderson, zmieniła także ton w kwestii imigracji i przestępczości. W wywiadzie dla gazety „Dagens Nyheter" premier została zapytana o segregację w miastach w związku ze strzelaninami, na co odpowiedziała bez ogródek: „Nie chcemy w Szwecji Chinatown, nie chcemy też Somalitown ani Małych Włoch".

Porzucony projekt wielokulturowej integracji

Podczas kampanii wyborczej receptą Andersona na walkę z przemocą gangów i strzelaninami były twarde słowa, zwiększenie liczby policjantów i surowsze kary za przestępstwa z użyciem broni.

Strategia ta stanowi ideologiczną zmianę w partii, która najwyraźniej porzuca projekt wielokulturowej integracji, który od lat realizowany jest w Szwecji, i próbuje naśladować kontrowersyjne prawo imigracyjne Danii.

„Myślę, że źle jest mieć obszary, gdzie większość mieszkańców jest pochodzenia nienordyckiego" — przyznał w innym wywiadzie Anders Yegman, minister ds. migracji i integracji.

Yegman odwiedził kilka tygodni temu jedną z dzielnic duńskiej stolicy, którą rząd uznał za getto i która jest obecnie w trakcie rozbiórki.

„Główną ideą partii jest to, że Danii udało się skutecznie położyć kres przemocy i strzelaninom, a Szwecji nie" — mówi Anders Sannerstedt.

Zdaniem eksperta w wyborach „Magdalena Anderson miała za sobą popularność i dobre prowadzenie procesu akcesji do NATO".

„Jednak w związku z integracją istnieje nie tylko problem strzelanin, ale także wiele innych związanych z tym kwestii, takich jak dostęp do mieszkań, niepowodzenia szkolne czy nierówny poziom bezrobocia wśród osób o pochodzeniu nieeuropejskim, i to trzeba rozwiązać" — podsumowuje profesor nauk politycznych na Uniwersytecie w Lund.

Wyborcy zdecydowali

Wybory, które odbyły się 11 września wygrali socjaldemokraci, zdobywając 30,4 proc. głosów, ale stracili władzę. Koalicja ugrupowań prawicowych zdobyła większość mandatów w szwedzkim parlamencie. Zasiądzie w nim 176 posłów prawicy i 173 z lewicy. Premier Szwecji stojąca na czele Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, Magdalena Andersson podała się do dymisji, a misja utworzenia nowego rządu jest teraz w rękach Ulfa Kristerssona z Umiarkowanej Partii Koalicyjnej.

Źródło: El Confidencial

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

23 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 16(28)/2022*

Putinowska „Gra o tron”

Izraelski dziennik „Ha-Arec” poddaje interesującej analizie oczekiwania i ideologiczne fantazje prezydenta Rosji, które doprowadziły go do krwawej wojny w Ukrainie.

Góra Athos. Jeden z dziesięciu klasztorów w "Republice Mnichów"

28 maja 2016 r. Władimir Putin zasiadł na tronie cesarzy bizantyjskich w Protatonie, najstarszym i najświętszym kościele na górze Athos. Na tej świętej górze kościołów prawosławnych, w północno-wschodniej Grecji przedstawił swoją wizję odtworzenia starożytnego podziału Imperium Rzymskiego na Wschód i Zachód, z sobą w roli nowego cesarza Wschodu. Imperatora, który zjednoczy elementy świata prawosławnego i rosyjskiego oraz będzie walczył z dekadencją i nihilizmem Zachodu. „Dziś przywracamy wartości patriotyzmu, pamięci historycznej i tradycyjnej kultury” – powiedział.

Nie wydaje się więc dziwne, że sześć lat po tym przemówieniu Putin zdecydował się zrealizować te plany z użyciem przemocy. Rosyjska artyleria niszczy wielowiekowe ukraińskie miasta i morduje Ukraińców bez względu na ich religię. Jednak ta wizja zrodziła się w głowie prezydenta Rosji na długo przed wizytą na górze Athos. A wojna w celu jej urzeczywistnienia była nieunikniona. W sposób pokojowy mogłoby dojść do jej realizacji tylko wówczas, gdyby mieszkańcy tego niedoszłego imperium z własnej i nieprzymuszonej woli przyjęli pomysły Putina.

Wybór Góry Athos przez Putina miał znaczenie symboliczne. Święta Góra jest wyjątkowa: to samorządna, monastyczna republika. Zakaz wstępu mają tam kobiety (a nawet samice innych gatunków), a także osoby uznane za heretyków lub schizmatyków. Mimo to znajduje się w Grecji, a więc na terytorium NATO i obowiązuje tu greckie prawo. Jednak istotniejszy jest fakt, że Putin zdecydował się określić swoją historyczną misję w miejscu będącym kiedyś symbolem jedności wschodniego chrześcijaństwa. Tego, które w dużym stopniu leży poza granicami Rosji.

W przemówieniu Putin nie pozostawił wątpliwości, że zamierza wskrzesić rosyjskie imperium wraz z odbudową prawosławnego świata i przy równoczesnym zniszczeniu zachodnich idei wolności.

Jak twierdzą niektórzy, w trakcie przemówienia na górze Athos Putin nie miał na myśli konkretnych celów strategicznych. Amerykański politolog John Mearsheimer uważa, że rosyjski prezydent nie różni się specjalnie od innych przywódców. Tak jak oni dąży do maksymalizacji władzy własnego kraju.

Niezrozumienie motywującej siły idei w polityce międzynarodowej prowadzi do odrzucenia tezy, że chęć jej realizacji doprowadziła Putina do wojny. Zderzenie wizji rosyjskiego prezydenta z wizją sąsiadujących narodów wschodnich, w której nie ma miejsca na dominację Kremla, stała się iskrą zapalną obecnej wojny. I nie ma to nic wspólnego z postrzeganiem po 1990 r. przyszłości Europy Wschodniej przez NATO.

Przekonanie, że to Stany Zjednoczone są w głównej mierze odpowiedzialne za kryzys w Ukrainie, opiera się na wątpliwych przesłankach. Gdyby NATO nie zaczęło angażować się we wschodnie sprawy w latach 90. i nie obiecało w 2008 r. w Bukareszcie, że Ukraina będzie mogła kiedyś przystąpić do Sojuszu, to Władimir Putin nie najechałby tego państwa ani w 2014 r., ani osiem lat później. Nie zostałby do tego zmuszony, gdyż jego strefa wpływów pozostałaby nienaruszona.

Ten pozornie rozsądny argument jest jednak błędny. W rzeczywistości putinowska logika pokazuje, że odnoszenie się do NATO, to jedynie niewłaściwe kontrfaktyczne wytłumaczenia agresji w Ukrainie. Należy spojrzeć na inny scenariusz. Jak pokazuje analiza przeprowadzona przez dwoje holenderskich naukowców – Nielsa Drosta i Beatrice de Graaf – stworzona przez Putina wizja dotycząca przyszłości rosyjskiego świata powstawała od dawna. O jej kształcie decyduje jego sposób rozumienia historii i postrzegania swojej roli w wielowiekowym procesie historycznym. Jest to też wizja skierowana na cały świat wschodniego chrześcijaństwa, a nie jedynie jego rosyjską część.

Próba grania na wspólnej przynależności do tego samego kręgu kulturowego ma też przyciągnąć niedoszłych sojuszników w stronę Rosji. Putin buduje swoją narrację w oparciu na religijnych powiązaniach, wzorując się na carach Piotrze Wielkim i Aleksandrze I. Ta wizja pobudza i radykalizuje jego działania w kierunku wojny. Realizuje swoje marzenie Świętej Rosji przez uwodzenie, a w razie konieczności z użyciem brutalnej siły.

Kiedy narody będące w orbicie zainteresowań Moskwy nie dały się zwieść, pozostało mu to drugie – krwawa gra o tron w rosyjskim stylu. I to jest faktyczny powód agresji wojsk Putina, nie zaś działania NATO. Gdyby państwa Europy Wschodniej poczuły pociąg do jego wizji, to prawdopodobieństwo, że rozpocznie on serię wojen i inwazji byłoby znikome. Chociaż było prawie pewne, że użyje siły, gdy zetknął się z niechęcią dla swoich pomysłów ze strony krajów będących w przeszłości w strefie wpływów ZSRR, to jednak nie było jasne w jaki sposób.

Tutaj działania NATO są rzeczywiście istotne. Sojusz nie ma bezpośredniego wpływu na decyzje podejmowane przez Putina, ale może zdecydować, w jaki sposób użyje on siły. Państwa członkowskie NATO mają środki, zarówno moralne, jak i wojskowe, aby wspierać narody sąsiadujące z Rosją i złamać jego wizję z Góry Athos.

Jest to zarówno imperatyw moralny, jak i ostrzeżenie dla innych niedoszłych autokratów na całym świecie, by zrezygnowali z własnej gry o tron i pozostawili swoje sąsiedztwo w spokoju.

Źródło: Haaretz